

Karpacki Przegląd Społeczno- Kulturalny

Карпатський соціокультурний огляд

Odkrywając na nowo, odkrywając inaczej



We współczesnym świecie turystyka kulturowa rozwija się czerpiąc z zasobów materialnego i niematerialnego dziedzictwa. Na proces ten mają wpływ różne czynniki, a efektem końcowym jest konkretny produkt, którego częścią składową stanowią wybrane elementy spuścizny kulturowej danego miejsca. Nie ma to nic wspólnego z rekonstrukcją czy kopiowaniem, musi być prawdziwe. Tym wszystkim złożonym na produkt turystyczny detalem o walorach tak przyrodniczych, jak i kulturowych, atrakcyjnych dla potencjalnego turysty – nadaje się złożone symboliczne znaczenie.

W ostatnich latach w Podkarpaciu, a idąc szerzej na obszarze pogranicza polsko-ukraińskiego i polsko-słowackiego, obserwuje się wzrost zainteresowania regionalnym dziedzictwem. Zaczynamy je powoli wykorzystywać, czego najlepszym przykładem jest działający prężnie Szlak Kultury Wołoskiej, dziedzictwo Wołochów sięgające tradycją XIV wieku. Pozostawiło ono po sobie układy przestrzenne wsi specyficzne dla obszarów podgórskich, liczne zabytki ruchome i nieruchome – zarówno sakralne, jak i świeckie – szczególnie na obszarze związane z odchodzącą już w niebyt kulturą drewna. Te elementy spuścizny Karpat, związane właśnie z historią, obyczajami, a nawet kulinariami tworzą unikalną w Europie „żywą i bogatą tkankę” lokalnej tradycji.

Bieszczady i Beskid Niski zapelniają się masowo turystami na 4-5 miesięcy, a po tym okresie „wiatr hula na hali i połoninie”. Pojawiają się tu wówczas nieduże grupy świadomych turystów nastawionych na poznawanie przyrody czy kultury miejsca. Co więcej naturalnie „współgrają” z lokalną ludnością oraz kulturą przez nich reprezentowaną. Szukają bowiem przeżyć szczególnego rodzaju, prawdziwych, unikając za wszelką cenę przemysłowej tandety przygotowanej pod masowego turystę. Ich wybory prowadzą do rozwoju popytu na produkty lokalnego rzemiosła, regionalnych kulinariów. Poszukują niezafalszowanych wrażeń i emocji. Bez znajomości ich potrzeb i ich preferencji zamknijemy Karpaty dla „cenniejszej” nie tylko finansowo grupy odbiorców, która poszuka tych doznań gdzie indziej. ■

У сучасному світі основу для розвитку культурного туризму становлять ресурси матеріальної та нематеріальної спадщини. На цей процес впливають різні чинники, а кінцевим результатом є конкретний продукт, що складається з окремих елементів культурної спадщини в конкретному місці. Він не має нічого спільного з реконструюванням або копіюванням, він має бути справжнім. Ці всі складні для туристичного продукту деталі, що мають як природну, так і культурну цінність, приваблюють для потенційного туриста, отримують складне символічне значення.

В останні роки в Підкарпатському воєводстві, ба більше, на території польсько-українського та польсько-словацького прикордоння, спостерігається зростання інтересу до регіональної спадщини. Ми починаємо потроху користуватися, найкращим прикладом чого є жвавий Шлях волоської культури, спадщиною волохів, традиції якої сягають XIV століття. Вони залишили після себе просторові системи сіл, характерні для передгірних районів, численні рухомі та нерухомі пам'ятки — як сакральні, так і світські, — особливо в цьому районі, пов'язані з культурою обробки деревини, що вже відходить у небуття. Ці елементи спадщини Карпат, що пов'язані саме з історією, звичаями, а навіть кухнею, утворюють унікальну для Європи «живу та багату тканину» місцевої традиції.

У Бещадах та Низьких Бескидах масовий туристичний сезон триває 4–5 місяців на рік, а решта часу лише «вітер свище в лузі та на połoninie». У цей час сюди завітають невеликі групи свідомих туристів, що націлені на вивчення природи або культури місця. До того ж вони природно «співзвучні» з місцевим населенням та культурою, яку воно представляє. Адже вони шукають пригод особливого роду, справжніх, та за всяку ціну уникають фабричної дешевини, приготовленої для масового туриста. Їхній вибір сприяє зростанню попиту на продукцію місцевих ремесел, регіональних кулінарів. Вони шукають щірих відчуттів та емоцій. Якщо ми не пізнаємо їхніх потреб та уподобань, ми закриймо Карпати для «цінної» не лише у фінансовому плані групи мандрівників, яка відправиться шукати цих пригод в іншому місці. ■

Zapraszam do lektury.
Adam Cyło

Приємного читання.
Адам Сіло

Projekt „ŚWIAT KARPACKICH ROZET - DZIAŁANIA NA RZECZ ZACHOWANIA KULTUROWEJ UNIKALNOŚCI KARPAT” finansowany ze środków Programu Współpracy Transgranicznej Polska-Białoruś-Ukraina 2014-2020.

Niniejszy dokument został przygotowany przy pomocy finansowej Unii Europejskiej, w ramach Programu Współpracy Transgranicznej Polska-Białoruś-Ukraina 2014-2020. Odpowiedzialność za zawartość tej publikacji leży wyłącznie po stronie Stowarzyszenia „Pro Carpathia” i nie może być w żadnym przypadku traktowana jako odzwierciedlenie stanowiska Unii Europejskiej, IZ lub Wspólnego Sekretariatu Technicznego Programu Współpracy Transgranicznej Polska-Białoruś-Ukraina 2014-2020.

W numerze:



Projekt Rozmowy, dyskusje, ustalenia	2 <i>Lidia Widak</i>
Rozmowa z... Życie całe w Bieszczadach	4 <i>Jacek Stachiewicz</i>
Karpackie historie Muzeum Historii Bieszczad ...	8 <i>oprac. Krzysztof Zieliński</i>
Bieszczadzkie historie Muzeum Kultury Bojków w Myczkowie	10 <i>oprac. Krzysztof Zieliński</i>
Karpackie klimaty Na bazarze w Kosowie	12 <i>Iga Cichoń</i>
Zabytki w Karpatach Zamki ukraińskiego Zakarpacia	14 <i>Юрій Лобан</i>
Historia W poszukiwaniu rumuńskiej etnogenezy	19 <i>dr Tomasz Kosiek</i>
Obyczaje „Na rachmańską Wielkanoc”	22 <i>oprac. Leszek Horwath</i>
Tradycja Warsztaty pisankowe	24 <i>Iga Cichoń</i>
Ludzie Karpat Dopowiadanie przyjaciela	25 <i>Andrzej Potocki</i>
Ludzie Karpat Reinfuss - etnograf pasterzy, muzealnik...	28 <i>Jakub Pawłowski</i>
Entomologia Karpat Karpackie biegacze	30 <i>dr inż. Tomasz Olbrycht</i>
Historia społeczna Żydzi w Bieszczadach	32 <i>Andrzej Potocki</i>
Karpaccy beskidnicy Zbójnicki atrybut – obuch	36 <i>Rafał Grosz</i>
Legendy Karpat Morowy Żyd, Karczmą Żebrak, O karczmie...	38 <i>Andrzej Potocki</i>
Polecane lektury	40 <i>Krzysztof Zieliński</i>

Przegląd

Karpacki Przegląd

Redakcja: 35-032 Rzeszów, ul. Śreniawitów 6/1 a
tel. 698 902 259,
e-mail: acylo@wp.pl

Redaktor prowadzący: Adam Cyło

Redakcja: I. Cichoń, R. Grosz, L. Horwath, T. Kosiek, Ю. Лобан, T. Olbrycht, J. Pawłowski, A. Pieniążek, A. Potocki, J. Stachiewicz, K. Staszewski, L. Widak, D. Zawistowski, K. Zieliński

Druk/skład/tamania: Drukarnia Papiirus, Jarosław
Nakład: 1000 egz.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie prawo redagowania nadesłanych tekstów. Kopiowanie i rozpowszechnianie publikowanych materiałów wymaga zgody Wydawcy. ISSN 2544-9028

© Copyright by Stowarzyszenie „Pro Carpathia”



Wydawca: Regionalny portal gospodarczy
www.gospodarkaPodkarpacia.pl

Wydawca: Stowarzyszenie na Rzecz Rozwoju i Promocji Podkarpacia „Pro Carpathia”
www.kulturakarpacie.eu

www.facebook.com/szak.woloski/

www.karpaty.turystyka.pl

www.procarpathia.pl

www.skarbypodkarpacie.pl

www.podkarpacie.maki.pl

www.zielonopodkarpacie.pl

fot. Dariusz Dąbrowski
Wielkanocne pisanki
z Kosmacza



Lidia Widak

Rozmowy, dyskusje, ustalenia

Розмови, обговорення, домовленості

W dniu 20 lutego 2020 r. we Lwowie, w budynku Lwowskiej Obwodowej Administracji Państwowej odbyło się kolejne spotkanie robocze Partnerów projektu „Świat karpaccich rozet – działania na rzecz zachowania kulturowej unikalności Karpat”.

Spotkanie zostało zorganizowane z inicjatywy Partnera Wiodącego – Stowarzyszenia „Pro Carpathia”. Uczestniczyli w nim przedstawiciele wszystkich Partnerów projektu. Celem spotkania było omówienie wyników i postępu Interim Progress Report (śródkresowego sprawozdania z postępu prac składającego się z części opisowej, finansowej oraz odpowiednich załączników).

Podczas spotkania poruszone zostały również tematy dotyczące postępu w realizacji projektu. Ustalono harmonogram działań i wydarzeń na rok 2020. Ustalono zostały prace związane z realizacją projektu, m.in.: konkurs architektoniczny, film informacyjno-promocyjny oraz strona internetowa projektu znajdująca się pod adresem <https://kulturakarp.at.eu/>. Uszczegółowione zostały także elementy aplikacji mobilnej, która zostanie przygotowana przez partnerów projektu z czterech regionów, tj.: Stowarzyszenie na Rzecz Rozwoju i Promocji Podkarpacia „Pro Carpathia” (województwo podkarpackie), Agency of regional development and crossborder cooperation „Transcarpathia” (obwód zakarpacki), NGO „Social center „Etalon” (obwód iwanofrankowski) oraz Department of Tourism and Resorts of Lviv Regional State Administration (obwód lwowski).

Zdecydowano, że zakres tematyczny aplikacji obejmować będzie architekturę drewnianą (świecką i sakralną), imprezy cykliczne oraz tradycje i obyczaje w w/w regionach. Po zebraniu materiałów, Partnerzy wspólnie podejmą decyzję w sprawie języków aplikacji. ■



20 лютого 2020 р. у Львові, у будівлі Львівської ОДА, відбулася чергова робоча нарада Partnerів проекту «Світ карпатських розет — заходи зі збереження унікальності культури Карпат».

Зустріч було організовано з ініціати-ви Провідного Partnera — Асоціації «Pro Carpathia». У неї взяли участь представники всіх Partnerів проекту. Мета зустрічі полягала в обговоренні результатів та ходу роботи над Interim Progress Report (середньостроковим звітом про хід роботи, що складається з описової та фінансової частини, а також відповідних додатків).

Під час зустрічі також були порушені теми, що стосуються прогресу в реалізації проекту. Було встановлено графік робіт та заходів на 2020 рік. Було визначено роботи, пов'язані з реалізацією проекту, зокрема: архітектурний конкурс, інформаційно-рекламний ролик та вебсайт проекту, доступний за адресою: <https://kulturakarp.at.eu/>.

Більш детально були також обговорені елементи мобільного застосунку, що його підготують Partnerи проекту з чотирьох регіонів, а саме: Асоціація розвитку та промоції Підкарпаття «Pro Carpathia» (Підкарпатське воєводство), Агентство регіонального розвитку та трансграничного співробітництва «Закарпаття (Закарпатська область), Громадська організація «Громадський центр «Еталон» (Івано-Франківська область) та Управління туризму та курортів Львівської обласної державної адміністрації (Львівська область).

Було вирішено, що діапазон тем, відображених у застосунку, включатиме дерев'яну архітектуру (світську та сакральну), циклічні заходи, а також традиції та звичаї в регіонах. Після того, як будуть зібрані матеріали, Partnerи разом приймуть рішення щодо мов, якими буде доступний застосунок. Наприкінці відбулося підбиття підсумків одноденної зустрічі. ■



Życie całe w Bieszczadach

Z Wojomirem Woj Wojciechowskim, b. nadleśniczym i b. dyrektorem Bieszczadzkiego Parku Narodowego, rozmawia Jacek Stachiewicz

- Czy Pamięta Pan dzień sprzed niemal 62 lat, gdy przyjechał Pan do Ustrzyk Dolnych?

- Doskonale, to było w sierpniu. Wysiadłem z pociągu i wszedłem na drogę prowadzącą na południe.

- Dokąd konkretnie?

- Do Bereżek.

- Miał Pan przed sobą 42 kilometry. Ktoś na Pana czekał?

- Nikt.

- To był rok 1958. Przyjechał Pan w bezludzie.

- Nie do końca.

- Ustrzyki Dolne i tereny na południe od nich łaskawa władza radziecka oddała Polsce w ramach wymiany na bogate w węgiel ziemie koło Hrubieszowa raptem siedem lat wcześniej. To, co po tej władzy pozostało, nie napawało optymizmem. Ludzi mieszkano tam mało. Nie bał się Pan?

- Ani trochę.

- Co Pan miał ze sobą?

- W plecaku chleb i kilka konserw, na piersiach, w kieszeni koszuli, dyplom.

- Za odwagę?

- Wyższej Szkoły Rolniczej w Poznaniu, gdzie dwa miesiące wcześniej obroniłem pracę dyplomową na Wydziale Leśnym. To był dyplom inżyniera leśnika.

- I co Pan jeszcze miał?

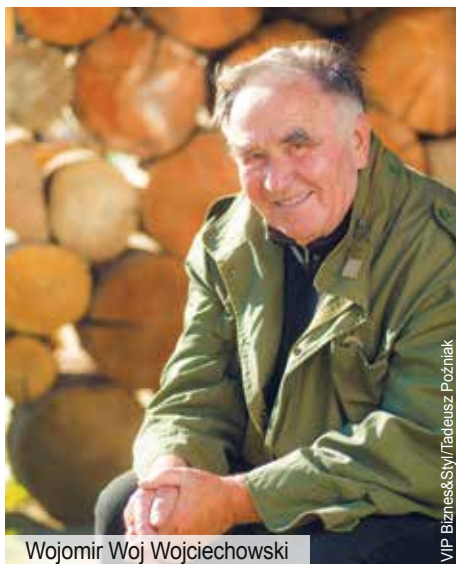
- 21 lat. Urodziłem się dwa lata przed wojną, w 1937 r., w Dorotyczach w województwie wołyńskim. Ojca władza radziecka wywiozła na Syberię, a mamie, mnie oraz bliźniaczemu bratu, udało się uniknąć sowieckich represji, a potem napaści ukraińskich nacjonalistów. W 1946 r. ojcu udało się do nas wrócić. Zamieszkaliśmy w Tuchowie.

- Ojca siłą wywieziono na syberyjskie pustkowia, Pan dobrowolnie udał się w dzicz bieszczadzką. Ojciec nie odradzał tego kroku?

- Nie wiedział, że jadę w Bieszczady. Powiedziałem tylko mamie.

- Skoro nikt nie czekał na Pana w Bereżkach, to dlaczego akurat tam udał się Pan?

- Chciałem zostać leśniczym, a podczas wakacji w studiowaniu jeździłem co roku z kolegami z uczelni i ze szkoły średniej w Bieszczady. Przeszliśmy je wzdłuż i wszerz. Podczas ostatnich wakacji przywędrowaliśmy do Bereżek, gdzie właśnie stawiano nowiuteńką drewnianą leśniczówkę, a okolica była tak piękna, że nie chciało



Wojomir Woj Wojciechowski

VIP Biznes&Styl/Tadeusz Pozniak

mi się stamtąd odchodzić. Wtedy postanowiłem, że gdy skończę studia, zostanę leśniczym właśnie w Bereżkach.

- Nie uprzedził Pan kogokolwiek, że tam przyjedzie, nie zatelefonował do nadleśnictwa albo do dyrekcji okręgowej lasów państwowych?

- Nie.

- Pełna abstrakcja...

- Trochę tak, ale wiedziałem z naszych wakacyjnych wędrówek, że Bieszczady czekają na ludzi i fachowców. Miałem co prawda dopiero 21 lat, ale dyplom ukończenia studiów potwierdzał, że fach też już miałem.

- Szedł Pan z tych Ustrzyk na południe i pewnie co chwilę się oglądał, czy jakiś samochód nie jedzie?

- Cud by to był nawet gdyby fura jakaś jechała. Jakikolwiek samochód, nawet ciężarowy, to było w tamtych latach w Bieszczadach niemal abstrakcyjne zjawisko.

- Dlaczego nie zdecydował się Pan na pracę gdzieś w cywilizowanej Wielkopolsce, gdzie Pan studiował albo nawet w okolicach Tuchowa, gdzie był pański dom rodzinny, tylko akurat w Bieszczadach?

- No bo tam właśnie Bieszczadów nie było. Te góry zauroczyły mnie już podczas wyprawy po pierwszym roku studiów i po 62 latach, które minęły od tego roku 1958, nie miałbym ochoty gdzie indziej i pracować, i mieszkać. Bieszczady rzuciły na mnie urok, który trwa do dziś.

- Czy pasja przeszła z Pana na syna?

- Tak. Syn pracuje w Bieszczadzkim Parku Narodowym, córki opuściły Biesz-

czady podążając za głosem serca. Jedna mieszka w Krakowie, a druga zakochała się w Brazylijczyku z wzajemnością i pofrunęła na drugi koniec świata. Ale co jakiś czas przyjeżdża, bo jak mówi, od uroku Bieszczadów trudno się człowiekowi wyzwolić. Szczególnie temu, kto się tu urodził i wychowywał.

- Szedł sobie Pan wtedy w sierpniu 1958 r. z Ustrzyk Dolnych do wymarzonych Bereżek...

- ... a dzień był piękny. Słoneczny i gorący, ale widać było i czuć, że lato powoli się dopala. Tu i ówdzie widziałem już pierwsze oznaki nadchodzącej jesieni, która w Bieszczadach przychodzi szybciej niż na nizinach. Zieleni traw nie była już tak soczysta, kwiaty łąkowe traciły sprężystość, zieleni zaś drzew od czasu do czasu znaczyła ledwie widoczna żółta plamka. Natura toczyła cudne swe życie wokół mnie. Byłem zauroczony jeszcze bardziej niż za pierwszym razem.

- Ilu ludzi spotkał Pan po drodze?

- Nikt mnie nie minął. Widziałem kilka osób w domostwach oddalonych od drogi, ale się nie zatrzymywałem. Chciałem dotrzeć do celu przed nocą, ale los chciał, że nie dotarłem. W ogóle. Sierpniowe słońce zachodzi szybko. Gdy zaczęło się zbierać na zmierzch, udało mi się dojść do Lutowisk. Okazały się punktem docelowym całego mojego życia. Mieszkam w nich do dziś.

- Następnego dnia nie chciał Pan już iść do Bereżek?

- Gdy doszedłem do Lutowisk, musiałem szukać miejsca na nocleg. Z drogi widać było tylko wieżę kościoła, bo wszystko wokół porastała niekoszona wysoka trawa i jeszcze wyższe chaszcze. Poszedłem tam i na kościelnych schodach ujrzałem kilku młodych ludzi grających w karty. Byłem tak samo zaskoczony ich widokiem, jak oni moim. Wokół absolutna pustka, a na schodach kościoła karcarnia. Kościół był w opłakanym stanie - powybijane szyby w oknach, w środku sterty wapna i nawozów. To pozostałość po władzy radzieckiej. Trochę się zdziwiłem, że w ciągu siedmiu lat, które minęły od czasu gdy się z Lutowisk wyniosła, nikt nie zajął się świątynią. Ale mnie interesował nocleg. Karciarze, z którymi się później zaprzyjaźniłem, poradzili mi, żebym poszedł do nadleśnictwa i wskazali kierunek na cerkiew, przy której się znajdowało. Dziś tej cerkwi już, niestety, nie ma, tak jak wielu innych, które mi było dane wtedy w Bieszczadach widzieć.

Budynek nadleśnictwa był dość duży. Wszedłem i dopiero po chwili zauważyłem, że jakaś kobieta myje podłogę. Nie zdziwił jej mój widok i natychmiast wydała polecenie bym przyniósł jej wodę ze studni.

- Był Pan zaskoczony?

- Raczej rozweselony sytuacją. Pani była władczo bezpośrednia, a gdy skończyła myć podłogę, okazało się, że jest żoną nadleśniczego, którego nie było, bo dopiero co wyszedł, by przyprowadzić krowy z pastwiska. Żona nadleśniczego pracowała na etacie sprzątaczką. W tamtych czasach nie zarabiano się w lasach dużych pieniędzy, więc ludzie dorabiali sobie w każdy możliwy sposób.

- Co Pan powiedział nadleśniczemu, gdy już się pojawił?

- Że właśnie skończyłem studia, mam dyplom inżyniera leśnika i szukam pracy. Był niezmiernie zaskoczony, bo w tamtych czasach trudno było namówić ludzi do pracy w Bieszczadach, a przed nim nagle zjawia się chętny do pracy i to z dyplomem wyższej uczelni. Odpowiedział, że to świetnie, że zaraz rano zadzwoni do okręgowej dyrekcji do Przemyśla. Nakarmiono mnie mlekiem, serem, masłem i wysłano na siano, bo żadnych pokoi gościnnych tam nie było. W przemyskiej dyrekcji zapanowało zdumienie i zaskoczenie, że na krańcu Polski pojawił się inżynier leśnik skory do pracy. Nakazano nadleśniczemu zatrzymać mnie za wszelką cenę, ponieważ podejrzewano, że gdy się rozglądnę, w jakich warunkach przyjdzie mi pracować, to wyniosę się stamtąd równie szybko jak się tam zjawiłem.

- Przyszła Panu do głowy taka myśl?

- Ani na moment. Punktem spornym były oddalone o 16 kilometrów Bereżki. One były moim celem, natomiast nadleśniczy przekonywał mnie, że to nie ma sensu, że zdecydowanie bardziej przydam się w Lutowiskach, bo pracy jest ogrom. Uległem jego argumentacji i mieszkam w Lutowiskach już 62 lata.

- Nie tęskno było Panu za Bereżkami?

- I tak, i nie. Sentyment do tej miejscowości mam do dziś, często tam bywałem i bywam, ostatnio spędziłem tam pół roku, ale w Lutowiskach miałem większe pole działania. Pracy rzeczywiście było bardzo dużo. Jest pewien niuans, który zapewne sprawił, że zauroczyły mnie podczas młodzieńczych wędrówek Bereżki, a nie Lutowiska. W przeciwieństwie do Lutowisk były one otóż po wojnie w granicach Polski. Gdy pierwszy raz zawędrowaliśmy tam podczas studenckich wędrówek, budowano nową drewnianą leśniczówkę i kilka, też drewnianych, budynków. Tam czuło się życie. Lutowiska zaś, nieco tylko większe, były na radziecką modłę zaniedbane, zniszczone. I z tym piętnem bylejakości mocowano się kilka dobrych lat. Nie uwierzy pan, ale gdy w sierpniu 1958 r. osiadłem w Lutowiskach to na jednym z niewielu

domów widniał napis: „Rada Gminy w Szewczenkowie”, bo tak za radzieckich czasów nazywały się Lutowiska. Byłem mocno zdziwiony, że przez siedem lat nikomu nie chciało się tego zmienić. No ale dziś Lutowiska są sercem tej części Bieszczadów.

- Bardzo widoczny, jeszcze siedem lat po „korekcie granic” był kontrast między polską a „radziecką” częścią Bieszczadów?

- Bardzo. Ludzie, których przesiedlono tutaj z okolic Hrubieszowa i Tomasza byli zastanowi warunkami mocno zdegrustowaniu, a nawet przerażeni. Byli przyzwyczajeni do pewnego komfortu, a tu zastali prymityw. Nic tedy dziwnego, że wielu z nich przenosiło się do wsi położonych na północ od Ustrzyk, które od dawna były polskie.

- Pana ten prymityw życia codziennego nie zniechęcał?

- Absolutnie nie. Wiedziałem dlaczego i po co idę do tych Bereżek, które okazały się koniec końców Lutowiskami. Interesowała mnie praca w bieszczadzkich lasach, urządzenie zaś sobie życia codziennego należało do mnie.

- Długo Pan spał na sianie u nadleśniczego?

- Tylko jedną noc. Potem miałem wstawione łóżko za które w gabinecie nadleśniczego i tam przez pewien czas nocowałem. Własne niekrepujące lokum dostałem dopiero po paru miesiącach.

- Zarówno poradzieckie Lutowiska, jak i polskie Bereżki to były miejscowości wyludnione. Te pierwsze w wyniku korekty granicy Polski i ZSSR w 1951 r, w ramach „Akcji H-T”.

- I to bardzo. Ale z tej właśnie przyczyny poznałem niesamowitą siłę przyrody w odradzaniu się. Zakotwiczyłem w Lutowiskach raptem jedenaście lat po wysiedleniu z tych terenów rdzennych mieszkańców, a bujna przyroda w bardzo dużym stopniu zdążyła już przykryć ślady dramatów, które się tu wtedy rozegrały. Gdy samotnie chodziłem po górach, niedawne przecież drogi prowadzące z jednej wsi do drugiej były już pozarastane i tylko wprawne oko wykrywało, że tam gdzie jest jakiś nienaturalny wzgórek, są to kamienne fundamenty niegdysiejszego domostwa. Wiosną było znacznie łatwiej, bo pozostałości dawnych wsi znaczyły kwitnące drzewa owocowe. I zazwyczaj ruiny cerkwi.

- Gdybyśmy się teraz przenieśli do roku 1958 i Pan miał znów 21 lat, to też zdecydowałby się Pan osiedlić w Lutowiskach?

- Czasu się nie cofnie i życia także, ale ja mam satysfakcję ze swojego życia w Bieszczadach. Pracowałem bardzo intensywnie, przy czym była to praca, którą uwielbiałem, mimo że czasami w skrajnie trudnych warunkach. No i mieszkalem w Bieszczadach, co też sobie w czasach studenckich wymarzyłem. Nie ma oczywiście sensu

porównywać dzisiejszych Bieszczadów z tymi z roku 1958. To dziś inny świat i inna epoka. Bieszczady są zagospodarowane, tętnią życiem, są atrakcją przyrodniczą i w konsekwencji turystyczną. Ale tak, zrobiłbym to samo co 62 lata temu.

- Coraz częściej słyszy się głosy, że to zagospodarowanie Bieszczadów odbiera im ich pierwotny charakter.

- A proszę mi pokazać, poza oczywiście parkami narodowymi i rezerwatami, miejsca, w których cywilizacja nie odciska swego piętna. Dbać natomiast należy o to, by to piętno nie było niszczycielskie. Już wtedy gdy ja wylądowałem w Bieszczadach przy każdej okazji mówiło się o ich zagospodarowaniu. Najpierw lasów, a potem całego ich obszaru. To było jak najbardziej naturalne i nie mogło być inaczej. Nasilenie tych działań, wspartych napływem pieniędzy, nastąpiło już w latach sześćdziesiątych. Skutek był różny, ale region się rozwijał. Przyjeżdżnym, którzy wstępowali tu na chwilę, mogło się wydawać, że region tkwi w letargu, ale rzeczywistość była inna. Nikt wtedy ani nie myślał, ani nie mówił o ochronie przyrody. Mówiło się o rozwoju. Nikt się na temat ochrony nawet nie zająknął, mimo że już od lat pięćdziesiątych bieszczadzkie połoniny znajdowały się pod zarządem dyrektora Tatrzńskiego Parku Narodowego. Związane to było z zakazem wypasania owiec w Tatrach, na co zezwalało natomiast w Bieszczadach. I każdego roku tysiące owiec podhalańskich górali maszerowało na bieszczadzkie połoniny. Ale, jak już mówiłem, temat ochrony przyrody bieszczadzkiej w świadomości społecznej nie istniał. Owszem, był obecny, ale w kręgach przyrodników, a nas leśników obowiązywało zagospodarowywanie lasów i bezleśnych terenów tych gór. Bo ludzi ciągle było w Bieszczadach mało.

- A zwierząt?

- Bieszczady były wtedy krainą wilka. Rozmnożyły się podczas dziesięciu lat po akcji „Wisła”, która wyludniła cały ten teren. Nie były niepokojone i widziało się je niemal wszędzie.

- W wilczej diecie główną pozycję stanowią jelenie. Czy tak rzeczywiście jest?

- Przez co najmniej pięć lat nie widziałem ani jednego jelenia. Zostały przez wilki wytrzebione. Gdy ja zameldowałem się w Bieszczadach, główną ich dietę stanowiły dziki, ale one też były już wtedy na granicy wytrzebienia.

- Często miał Pan kontakt z wilkami?

- Wzrokowy tak. Niemal zawsze, gdy szedłem przez las, a zimą jechałem na nartach, widziałem ich grzbiety poruszające się równoległe do trasy mojego marszu. Nie zdarzyło się jednak, by zaatakowały człowieka.

- A człowiek wilka?

- Po mniej więcej dwóch latach mojego pobytu w Bieszczadach rozpoczęła się, zarządzona ogólnie, akcja redukcji wilczych stad. Trzeba było wtedy żyć w Bieszczadach,

znać, czuć i rozumieć środowisko, by być przekonany co do tego, że populację wilków należy zdecydowanie zmniejszyć. Było ich tak dużo, że żadna zwierzyna płowa nie miała szans przeżyć. Nie było ani saren, ani jeleni, wilki przyczyniły się też do zredukowania niemal do zera populacji rysia. Dopiero gdy w sposób znaczący zmniejszyliśmy liczbę wilków, zaczęła pojawiać się zwierzyna płowa. Po raz pierwszy usłyszałem ryk jeleni podczas ich okresu godowego, czyli rykowiska, dopiero w 1963 r. I w następnych latach nie tylko zadaniem myśliwych, ale także leśników, była dbałość o odbudowę w Bieszczadach populacji zwierzyny płowej. Dziś mówi się z dumą o jeleniu karpackim, ale mało kto wie i pamięta, jakie były tego początki.

- Gdyby nie ingerencja człowieka, czyli trzebienie sporej liczby wilków, nie odbudowałyby się w Bieszczadach stada zwierzyny płowej.

- Z czasem mogłoby, ale nie musiało do tego dojść, ponieważ przyroda potrafi sama regulować swój organizm. Zwierzyna płowa wróciłaby w te piękne góry dopiero wtedy, gdyby stada wilków zostały przetrzebione przez jakieś choroby, które od czasu do czasu dopadają te drapieżniki. Nigdy jednak nie wiadomo, kiedy to się stanie, a w związku z tym, ile czasu trzeba by było na to czekać?

- Pan jest myśliwym?

- Zawsze byłem.

- Nawet wtedy, gdy był Pan dyrektorem Bieszczadzkiego Parku Narodowego?

- Wtedy powiesiłem strzelbę na kołku.

- Wbrew sobie?

- Nie, po prostu przestałem wykonywać obowiązki należące do członka koła łowieckiego.

- Dziś strzeliłby Pan do wilka?

- Nie.

- Dlaczego?

- Uważam, że w Bieszczadach panuje równowaga w populacji zwierzyny leśnej i w takiej sytuacji człowiek nie powinien ingerować. Na studiach miałem profesora, który wpajał w nas zasadę, że jeśli się nie wie, co się chce zrobić w lesie, to należy nic nie robić, żeby nie zepsuć. Przyroda sobie sama poradzi.

- A Pan zaprzeczył tej zasadzie biorąc udział w redukcji wilczych stad, na przełomie lat 50. i 60 ubiegłego wieku.

- Absolutnie nie, bo myśmy wiedzieli, co należy zrobić i jaki jest cel tego działania. Musieliśmy zabić wilki, by dać szansę przeżycia zwierzynie płowej, którą chcieliśmy znów widzieć w bieszczadzskich lasach, a której tam wtedy nie było. I to się udało. Działaliśmy celowo, a nie bezcelowo i bez sensu. I jeszcze jedna bardzo ważna kwestia - to człowiek doprowadził do nadmiernego rozmnożenia się wtedy wilków w Bieszczadach, bo to człowiek zniszczył w tych górach rdzennych mieszkańców, wysiedlił ich z rodzinnych z dziada

pradziada siedlisk i to człowiek sprawił, że na kilka dobrych lat te tereny stały się bezludnym. Wilki - drapieżniki przecież, poczuły się władcami tego bezludzia i rozmnażały się bez krzty zagrożenia z jakiegokolwiek strony. Redukując wilcza populację naprawiliśmy tylko to, co inni ludzie zepsuli.

- Dziś coraz częściej słyszy się, że wilków jest znów za dużo i należy je odstrzeliwać.

- Ja uważam, że jest ich tyle, że nikomu nie zagrażają. W bieszczadzkiej przyrodzie panuje równowaga, nie ma potrzeby i sensu w nią ingerować, sama da sobie radę.

- Hodowcy owiec domagają się redukcji wilczych watah.

- Proszę pana... Gdy w 1958 r. rozpocząłem tutaj pracę, na każdy sezon letni przywozili swoje owce na wypas w Bieszczady górskie z Podhala. W samych tylko Berehach Górnych były trzy baczki. Owce były wtedy niemal wszędzie, mimo że wilków było co niemiara, ale żaden z baczów nie skarżył się, że wilki dziesiątkują im stada. Oni po prostu umieli bronić swoje owce przed wilkami. Jeśli taki góral miał na wypa-



Wojciechowski

się trzysta czy pięćset owiec, a wilki zabiły mu pięć czy sześć, to on tego nawet nie zauważał, bo pewnie więcej podczas kilku miesięcy wypasu sam zjadł.

- Nie miał Pan jeszcze skończonej trzydziestki, gdy został Pan nadleśniczym. Po sześciu zaledwie latach pracy.

- Przepelniała mnie duma.

- Był Pan pewnie jednym z najmłodszych nadleśniczych w Polsce. Afiszował się Pan z tym?

- Tylko bym spróbował. Od razy by mnie podwładni w taki lub inny sposób sprawdzili do właściwego poziomu.

- Co było dla młodego nadleśniczego najtrudniejsze w prowadzeniu nadleśnictwa?

- Miałem za sobą sześć lat praktyki zawodowej, poznałem teren na wylot, jego tajemnice i pułapki o każdej porze roku. Wiedziałem, co mam, jaki jest stan posiadania i co należy zrobić, czyli co zorganizować i jak zarządzać, by powierzona mi firma działała sprawnie. To mi się udało i 25 lat pracy na tym stanowisku uważam za najbardziej twórczy okres w swoim życiu.

- Byłem przekonany, że na pierwszym miejscu postawi Pan kierowanie przez dwanaście lat Bieszczadzkim Parkiem Narodowym.

- To było zupełnie nowe i inne doświadczenie, mimo że też w terenie, który znałem od podszewki. Podstawą pracy w Lasach Państwowych jest gospodarka leśna, w parku narodowym piecza nad naturalną przyrodą i dbałość o jej nienaruszalność. W odniesieniu zarówno do flory, jak i fauny.

- Kiedy dotarła do Pana wiadomość, że jest szansa na wyodrębnienie części Bieszczadów dla nowo powstałego parku narodowego?

- To było gdzieś na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych i już w roku 1973 Bieszczadzki Park Narodowy stał się faktem. Co prawda obejmował on wtedy obszar o powierzchni niespełna 60 kilometrów kwadratowych, ale były to bardzo cenne przyrodniczo i krajobrazowo tereny, bo między innymi masyw Tarnicy, Krzemienia, Halicza i podszczytowe partie Połoniny Caryńskiej. Ale to już było coś, na czym można było budować. Chwała tym, którzy do tego doprowadzili.

- A gdyby do tego nie doprowadzono?

- To cały odcinek drogi między Wetliną a Ustrzykami Górnymi mielibyśmy dziś poobstawiany mniej lub bardziej wymyślnymi willami, zajazdami i karczmami, a z bieszczadzkiej przyrody nie ostałoby się nic albo jedynie jakieś tam jej fragmenty. Ludzie mają dziś pieniądze i każdy chce mieć dom z bajkowym krajobrazem za oknem. A takie są w Bieszczadach, szczególnie na terenie parku narodowego.

- Długo się Pan wahał, gdy otrzymał propozycję objęcia stanowiska dyrektora Bieszczadzkiego Parku Narodowego?

- Ani przez chwilę.
- **Skoro tak, to musiał się Pan przyglądać dokładnie, co w parku robiono i mieć wizję, co należy zrobić.**

- Miałem taką wizję.
- **Co było w niej najważniejsze?**
- Powiększanie terytorium parku o ile się tylko da. Byłem w tym konsekwentny i nieugięty. Przekonywałem do tego kogo się tylko dało i gdzie się tylko dało. Dziś by powiedziano, że uprawiałem lobbing. I za mojego dyrektrowania obszar parku powiększono trzykrotnie. Już w pierwszym roku, czyli w 1991, potem w 1996 i ostatni raz w roku 1999. Z 60 kilometrów kwadratowych park rozrósł się niemal pięciokrotnie i dziś rozciąga się na terenie obejmującym 292 kilometry kwadratowe, czyli 29 202 hektary.

- **Co zalicza Pan do swoich największych osiągnięć podczas dwunastu lat kierowania Bieszczadzkiem Parkiem Narodowym?**

- Na pewno to, o czym przed chwilą rozmawialiśmy, czyli pięciokrotne powiększenie jego terytorium. Dzięki temu stworzyliśmy znakomite warunki dla bieszczadzkiej flory i fauny i jej naturalnego rozwoju, bo wyłączyliśmy te tereny z ingerencji człowieka. Przyroda na tam sama sobie radzi i doskonale to robi. Druga bardzo ważna kwestia to fakt, że udało mi się utworzyć wspólny zespół z ludźmi wywodzących się z bieszczadzkich nadleśnictw, którzy chcieli i potrafili przestawić się z pracy leśników na znakomitych fachowców mających pieczę nad bieszczadzką przyrodą. Trzeci mój powód do dumy, to utworzenie hodowli koni huculskich. Gdy włączono wreszcie do parku tereny Wołosatego, zastanawialiśmy się z doktorem Tomaszem Winnickim, co zrobić z trzema ogromnymi stajniami, które wybudowano tam z zamiarem hodowli owiec oraz z rozpoczętą budową budynku dla pracowników. Po drugiej, ukraińskiej stronie granicy wypasali się owce i bydło, ale uznaliśmy, że kopianie tego sposobu zagospodarowania terenu nie mieści się w naszej wizji funkcjonowania Bieszczadzkiego Parku Narodowego. I tak, krok po kroku wykielkowałam pomysł utworzenia zachowawczej hodowli koni huculskich. Dziś niemal wszystkie hucule znajdujące się w bieszczadzkich gospodarstwach agroturystycznych pochodzą z naszej hodowli.

- **Był Pan świadkiem ogromnej ingerencji człowieka w bieszczadzką przyrodę...**

-...ma pan zapewne na myśli budowę zapory w Solinie.

- **Tak. Jak Pan odbierał zmianę ukochanego przez Pana krajobrazu Bieszczadów?**

- Nie miałem na to żadnego wpływu, więc traktowałem tę inwestycję jako coś czego nie da się uniknąć. Wiedziałem, że musi w jakiś sposób wpłynąć na zmianę klimatu w bliższej i dalszej odległości od tafla jeziora

ra i z czasem rzeczywiście wytworzył się specyficzny bieszczadzki mikroklimat. Wiedziałem też, że muszą ulec zmianie ścieżki wędrówek zwierzyny, a więc musi się zmienić w jakiś sposób ich tryb życia. Jednak na ocenę, czy skutki tej inwestycji będą negatywne czy pozytywne, należało poczekać kilka lat od jej zakończenia. Dziś mogę powiedzieć, że zalew soliński, aczkolwiek jest tworem sztucznym, świetnie wkomponował się w bieszczadzki krajobraz i go wzbogacił. Jest też magnesem ściągającym w Bieszczady turystów, co ma istotny wpływ na poziom życia mieszkańców. Moim bowiem zdaniem przyszłość Bieszczadów to już nie jest drewno, lecz turystyka.

- **Całe pańskie zawodowe życie było jednak związane z lasem. Jest Pan w stanie podać, ile tysięcy metrów sześciennych drewna za Pana czasów w Nadleśnictwie wycięto?**

- Trudno to policzyć. na pewno znacznie mniej niż planowano w zatwierdzonych operatach czyli planach leśnych. Cięcia w Lasach Państwowych i również innej własności oparte są o szczegółową inwentaryzację zasobów przyrodniczych, która określa zasobność i rozmiary prac – w tym wypadku cięć i odnowień. Taką inwentaryzację i przewidziane zabiegi przeprowadzają specjalnie do tego powołane Biura Urządzania Lasu opracowując tzw. operaty. Określona jest w nich szczegółowa lokalizacja planowanych prac z okresem ważności od 10 do 20 lat, z okresem rozliczeniowym minimum 10-letnim. Pamiętam, że w latach 50-60. ubiegłego wieku obowiązywało pojęcie drzewostanów dostępnych (ok. 30%), trudnodostępnych (ok. 40%) i niedostępnych (ok. 30%). Z bieszczadzskich lasów, i owszem, wywozilo się setki tysięcy metrów sześciennych drewna, ale nigdy nie prowadziliśmy w nich gospodarki zrębowej, czyli takiej, gdy wycina się w pień określony obszar lasu. W Polsce, a w Bieszczadach na pewno, prowadziliśmy gospodarkę przerębową, czyli z danego obszaru wycinaliśmy pojedyncze drzewa. To znacznie trudniejsze i mniej efektywne niż w gospodarce zrębowej.

- **Leśnicy można powiedzieć, byli tą ariergardą nowej społeczności, która pojawiła obok policji i Wojsk Ochrony Pogranicza jako pierwsza, w tych bezludnych wówczas Bieszczadach.**

- Zgadza się, oprócz gospodarki leśnej leśnicy zagospodarowywali Bieszczady, tworząc podstawowe warunki nie tylko dla potrzeb lasu, ale dla rozwoju osadnictwa i tworzenia się nowego miejscowego społeczeństwa. Budownictwo drogowe leśne i publiczne, pojedyncze domy i osiedla, szkoły i internaty, sklepy i hotele robotnicze, kolejka leśna i wiele mniejszych inwestycji dały podstawę rozwoju i funkcjonowania dzisiejszych Bieszczadów. W tym wszystkim był również mój udział, a Lasy



Ścieżka na Tamię w Bieszczadzkim Parku Narodowym

prowadzone przez oddanych im leśników stały się zaczątkiem w wielu przypadkach powstawania Parków Narodowych, rezerwatów przyrody, Parków Krajobrazu i objęciem różnymi formami ochrony wszystkich elementów naszej ojczystej planety.

- **Po pytaniu o pozyskanie drewna chciałem zapytać, ile tysięcy hektarów lasów na obszarze Nadleśnictwa posadzono. O ile więcej jest dziś w Bieszczadach lasów niż wtedy w roku 1958, gdy rozpoczynał Pan tu pracę?**

- Dokładnej liczby panu nie podam, kilka tysięcy hektarów w samym Nadleśnictwie, a w Bieszczadach powierzchnia lasów sądzię, że powiększyła się o około 30 procent. Bieszczady były po akcji „Wisła” bezludne, ubogie grunty rolne, na których gospodarowali Bojkowie, stały odłogiem i myśmy na tych ugorach sadzili lasy. Pamiętam, że gdzieś kiedyś w czyjejs nadgorliwej głowie pojawił się pomysł posadzenia drzew na poloninach, ale mimo że były to czasy trudne na szczęście do tego nie doszło.

- **Pytając, ile drzew wyciął Pan lub posadził w Bieszczadach mam oczywiście na myśli podejmowane przez Pana decyzje, które wykonywali robotnicy leśni. Czy zdarzyło się jednak, że własnymi rękami sadił Pan las?**

- Bardzo często i jest tego sporo. W Bieszczadach prawie zawsze był deficyt rąk do pracy, więc gdy trzeba było wykonać jakieś pilne roboty, każda para rąk była cenna.

- **Pamięta Pan miejsca, w których rosną własnoręcznie przez Pana posadzone drzewa?**

- Niektóre tak. I muszę panu powiedzieć, że nie jestem już w stanie objąć rękami tych, które sadiłem w pierwszych latach swojej pracy. Zaczynałem ją 62 lata temu, więc te pierwsze drzewa przeze mnie sadzone są już „po sześćdziesiątce”. Wysokie, dorodne. Gdy pod nimi stoją czuję dumę.

- **A staje się Pan wtedy chociaż trochę sentymentalny?**

- W tym wieku już się to ma. ■

Muzeum Historii Bieszczad w Czarnej Górze



LeAnn Dutka na tle budynku muzeum

To prywatne muzeum zajmuje niewielką powierzchnię. Ale ilość zgromadzonych na niej eksponatów jest po prostu imponująca. Możemy obejrzeć, czasami i dotknąć, ponad 2000 przedmiotów pochodzących najczęściej z wieku XIX i XX. Zdarzają się obiekty także ze starszych czasów.

Kim są twórcy i właściciele tej muzealnej placówki? To małżeństwo, które jest zakochane w Bieszczadach i postanowiło stąd nie wyjeżdżać. Rafał Dutka to rodowity bieszczadnik uwielbiający tutejszą przyrodę, a przede wszystkim pasjonat historii, umiejący ciekawie o niej opowiadać. Z kolei LeAnn Dutka to dziewczyna z miasta, która odnalazła swoje miejsce w Bieszczadach. Razem od 2013 r. nieustannie tworzą Muzeum Historii Bieszczad w Czarnej Górze. Wszelkie prace wykonują tu sami. Połączając od drobnych napraw w budynku, poprzez przygotowania eksponatów i ekspozycji, a kończąc na oprowadzaniu gości. Obecnie ekspozycję stałą tworzy kilka tysięcy eksponatów pochodzących przede wszystkim z terenu dzisiejszego powiatu bieszczadzkiego i leskiego. W muzeum znajdują się również przedmioty przywiezione z Sokalszczyzny, która w wyniku korekty granic w 1951 r. (tzw. Akcja H-T) została włączona do ZSRR. Dla zwiedzających udostępnione są cztery sale, w których mogą zapoznać się z historią Bieszczad prezentowaną poprzez poszczególne działy: kulturę duchową i materialną dawnych mieszkańców, działania militarne I i II wojny światowej, rozwój przemysłu oraz czas odbudowy Bieszczad po II wojnie światowej. Znajdziemy więc tu zbiory dokumentów, przedmioty codziennego użytku, jak i narzędzia kowalskie czy rolnicze. Są również zbiory guzików, butelek, nieśmiertelników.

Są cerkiewne krzyże i monstrancje, topory, bagnety, a także cegły wypalane w działających tu niegdyś cegielniach. Dla miłośników historii najnowszej niezwykle ciekawy będzie zbiór tablic, głównie z czasów PRL, zdobiących fasady nieistniejących już urzędów i instytucji.

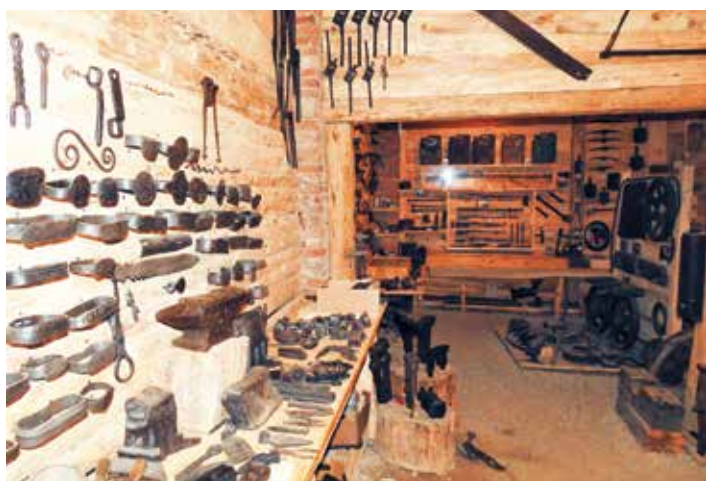
Z zewnątrz muzeum wygląda niepozornie, jest to dawny budynek gospodarczy, a wewnątrz jest wręcz surowe. Mimo to odwiedzający je goście często są zachwyceni eksponatami i opowieściami o nich, które tworzą historię tych gór. I aż trudno uwierzyć, że ta placówka nie jest w żaden sposób dotowana.

Z każdym rokiem muzeum się rozwija przyciągając coraz większą liczbę zwiedzających przy zachowaniu swojego nietuzinkowego charakteru. Warto też wiedzieć, że placówka wpisana jest do rejestru muzeów prowadzonego przez Departament Dziedzictwa Kulturowego Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Muzeum posiada regulamin zatwierdzony przez ministra, który jest równoznaczny z uzyskaniem statusu muzeum publicznego. ■

Muzeum Historii Bieszczad
38-710 Czarna, Czarna Góra 6,
LeAnn +48 503 460 189,
Rafał +48 697 542 818
www.muzeumhistoriibieszczad.pl,
www.facebook.com/muzeumhistoriibieszczad



Agata Lipiec (6)



Muzeum powstało dzięki pasji i wytrwałości dwojga ludzi, LeAnn i Rafała Dutków, zakochanych bez pamięci w Bieszczadach. Ona - Polka z brytyjskim aktem urodzenia, on rodowity bieszczadnik: - *Ale bez ludzi, którzy są obok i nas wspierają kiedy brakuje nam sił nie byłoby tego miejsca. Dlatego też wiemy, że największa siła tkwi w ludziach i dzięki nim można pokonać wszystkie przeciwności losu. Zbieramy eksponaty, z których każdy w pewnym sensie jest wyjątkowym dokumentem tego miejsca, usytuowanym w czasie i przestrzeni. I niekoniecznie musi być papierowy, aby pokazać obraz życia mieszkańców tej krainy w różnych epokach. Zakładając to muzeum chcieliśmy pokazać i przybliżyć, bogatą, a często tragiczną historię tego miejsca. A Bieszczady to region, który kryje w sobie jeszcze wiele tajemnic i fascynujących historii. Dlatego jeśli chcecie poznać dzieje Bieszczad, musicie koniecznie odwiedzić nasze muzeum.*

Музей історії Бещад у Чорній Верхній

Цей невеликий приватний музей займає порівняно невелику площу. Але кількість зібраних на ній експонатів просто вражає. Ми можемо подивитися, а іноді й доторкнутися, до понад 2000 предметів, які здебільшого походять з XIX та XX століть. Однак у цій величезній колекції ми знайдемо також об'єкти з інших, явно старіших часів.

Хто є творцем та власником цього музею? Це подружжя, яке закохалося в Бещади та вирішило звідси не їхати. Рафал Дудка — корінний мешканець Бещад, який любить тутешню природу, а, насамперед, є пристрасним дослідником історії та вміє цікаво розповідати про неї. З іншого боку, ЛеАнн Дудка — це дівчина, яка народилася в місті, але знайшла своє місце в Бещадах. Разом із 2013 року вони весь свій час присвячують створенню Музею історії Бещад у Чорній Верхній. Усю роботу вони виконують тут самі. Починаючи від незначного ремонту в будівлі до підготовки експонатів та експозицій та закінчуючи екскурсіями для відвідувачів. У цей час постійна експозиція музею складається з кількох тисяч експонатів, головню, з території сучасного Бещадського й Ліського повітів. У музеї виставлені також предмети, привезені із Сокальщини, яка внаслідок корекції кордонів 1951 року (так звана «Акція Н-Т») увійшла до складу СРСР. Для відвідувачів відкриті чотири зали, у яких можна ознайомитися з історією Бещад,

представленою окремими відділами: духовна та матеріальна культура колишніх мешканців, військові дії Першої та Другої світової війни, розвиток промисловості та період відновлення Бещад після Другої світової війни. Отже, ми знайдемо тут колекції документів, предмети побуту, а також ковальські або сільськогосподарські знаряддя. Є також колекції гудзиків, пляшок, медальйонів смерті. Є церковні хрести й монстрації, сокири, багнети, а також цеглини, обпалені в розташованих тут колись цегляних заводах. Любителів новітньої історії надзвичайно зацікавить колекція табличок, здебільшого з часів ПНР, що прикрашали фасади ліквідованих нині управлінь та установ. Зовні музей виглядає геть непримітно, це колишній господарський будинок, а його інтер'єр взагалі дуже строгий. Тим не менш, відвідувачі часто залишаються в захваті від експонатів і розповідей про них, які складають історію цих гір. І досі важко повірити, що ця установа не отримує жодних субсидій.

З кожним роком це місце розвивається та притягує дедалі більшу кількість відвідувачів, а водночас зберігає свій особливий характер. Варто також додати, що саме цей музей був внесений до реєстру музеїв Департаменту культурної спадщини Міністерства культури та національної спадщини. Він має регламент, затверджений міністром, що прирівнюється до отримання статусу державного музею. ■

Музеєм історії Бещад
38-710 Чорна, Чорна Верхня, буд. 6
ЛеАнн +48 503 460 189,
Рафал +48 697 542 818
www.muzeumhistoriibieszczad.pl,
www.facebook.com/muzeumhistoriibieszczad



Muzeum Kultury Bojków w Myczkowie



arch. MK w Myczkowie



Agata Lipiec (9)



Muzeum swoje powstanie zawdzięcza staraniom Stanisława Drozda, historyka i pasjonata kultury ludowej Bieszczadów. Początki jego pasji sięgają lat 70. ubiegłego stulecia, kiedy to zaczął gromadzić pierwsze zbiory. Przechowywane były one w szkole podstawowej, w której, jako nauczyciel historii, wykorzystywał je w pracy dydaktycznej. Od sześciu sezonów zbiory są ekspozowane w budynku Gminnego Muzeum Kultury Duchowej i Materialnej Bojków w Myczkowie, które przyciąga rokrocznie coraz większe rzesze turystów.

Dzięki zaangażowaniu lokalnej społeczności: uczniów, rodziców i licznych ofiarodawców zgromadzonych wokół idei ocalenia artefaktów przeszłości, powstał znaczny rozmiar zbiorów eksponatów i narodził się pomysł powołania placówki muzealnej. Niezbędna okazała się tu pomoc Gminy Solina, która objęła opieką nowo powstałą placówkę i przeznaczyła na jej siedzibę budynek gminny. Pozyskane fundusze europejskie pozwoliły na jego remont i przystosowanie do potrzeb muzealnych. W 2013 r. Stanisław Drozd przekazał zgromadzone zbiory na rzecz Gminnego Ośrodka Kultury Sportu i Turystyki w Solinie z/s w Polańczyku i tak ze szkolnej pracowni historycznej trafiły one do powołanego Gminnego Muzeum Kultury Duchowej i Materialnej Bojków w Myczkowie.

Muzeum prezentuje kulturową różnorodność Bieszczadów, gromadzi przedmioty związane z codziennym, dawnym życiem okolicznych wsi, dworów oraz miasteczek. Utrwala wiedzę na temat zwyczajów, obrzędów, tradycji i powszedniej pracy ludzi w XIX i pierwszej połowie XX wieku. Szczególnie zaś stara się zachować pamięć o Bojkach, dawnych mieszkańcach Bieszczadów, którzy od przeszło pięciu stuleci wzbogacali barwny krajobraz etniczny tych ziem, a których historia została radykalnie przerwana w połowie ubiegłego stulecia. Pozostały po nich tylko nieliczne ślady ich bytności i zacierające się już wspomnienia.

Znaczną część zbiorów prezentowanych na ekspozycjach stanowią dawne sprzęty rolnicze i domowe, wyroby rzemiosła ludowego, meble, naczynia i tradycyjne tkaniny. Są to

głównie wyroby rękodzielnicze, które świadczą o kunszcie, umiejętnościach i wykorzystaniu środowiska naturalnego do zaspokojenia potrzeb bytowych i estetycznych dawnych mieszkańców wsi. Ekspozaty pochodzą z okresu od końca XIX do połowy XX wieku; niektóre używane były jeszcze kilkanaście lat temu. Cenny zbiór muzealiów stanowią unikatowe stroje ludowe. Są to zarówno stroje codzienne, wykonane ręcznie z płótna lniowego lub konopnego, jak i też odświętne, zdobione pięknym haftem krzyżkowym.

W zbiorach muzeum znajdują się zabytki sakralne i przedmioty kultu religijnego. Są to naczynia liturgiczne z dawnych cerkwi, tabernakula, fragmenty ikonostasu, krzyże. Placówka gromadzi również zbiory archiwalne: rękopisy, dokumenty, fotografie, przekazy i wspomnienia zarejestrowane na taśmach magnetofonowych. W jego archiwach znajdują się także nieliczne pamiątki rodzinne po dawnych mieszkańcach okolicznych dworów.

Gminne Muzeum Kultury Duchowej i Materialnej Bojków zaprasza w sentymentalną podróż po przedwojennych Bieszczadach, barwnych, tętniących życiem, do refleksji nad historią ludzi i nad światem, który odszedł już do przeszłości. ■

Kontakt z placówką muzealną:
38-610 Polańczyk, Myczkowie 46,
+48 13 463 15 69,

poczta@muzeumbojkow.pl
www.gokitsolina.nazwa.pl/muzeum
www.facebook.com/
muzeumkulturybojkow/

Stanisław Drozd to obecnie emerytowany nauczyciel historii. Z jego inicjatywy jeszcze wiele lat temu zaczęto zbierać stare przedmioty znajdowane w komórkach, stodołach lub na strychach bieszczadzkich domów. To indywidualne zbieractwo przekształciło się szybko w formę nauczania lokalnej historii. Kolejnym etapem była izba regionalna, która obecnie jest już placówką muzealną: *Zaczęło się to wszystko w szkole w Berezce, gdzie po studiach rozpocząłem pracę jako historyk. I dołączyłem do inicjatywy - obecnie już nieżyjącego - polonisty Władysława Wojtonia, tworzącego zbiór staroci wygrzebywanych z różnych zakamarków przez uczniów. Cel był oczywisty - uratować to co jeszcze można przed zniszczeniem i zapomnieniem. Tych przedmiotów przybywało i w konsekwencji mamy ich tyle, że wypełniają cały budynek muzeum. Robimy pokazy tematyczne związane z dawnym gospodarstwem wiejskim, pracami przydomowymi, rzemiosłem, obrzędami. Wiele się tutaj dzieje, co sprawia mi radość, że coś pozostanie dla przyszłych pokoleń, a chyba właśnie o to chodzi, aby po tych, co teraz są, pozostało coś dla tych, co będą.*

Музей бойківської культури в Мичкові

Музей зобов'язаний своїм створенням зусиллям Станіслава Дрозда, історики та пристрасного любителя народної культури Бещад. Його пристрасть сягає корінням 70-х років минулого століття, коли він почав збирати перші колекції. Він зберігав їх у початковій школі, де, як вчитель історії, використовував їх у навчальній роботі. Вже протягом шести сезонів вони експонуються в будівлі Гмінного музею духовної та матеріальної культури бойків у Мичкові, що його щороку відвідує дедалі більше й більше туристів.

Завдяки участі місцевої спільноти: студентів, батьків і численних жертводавців, яких об'єднала ідея рятування артефактів минулого, було зібрано значних розмірів колекцію експонатів і народилася ідея створення музею. Для цього потрібна була допомога гміни Солина, яка взяла на себе турботу про новостворений музей і передала йому будівлю, яка належала до гміни. Залучені кошти Європейського Союзу дозволили відремонтувати її та пристосувати до потреб музею. 2013 року Станіслав Дрозд передав зібрані колекції Гмінному Центру культури спорту й туризму в Солині з місцезнаходженням у Полянчику й таким шляхом зі шкільної історичної майстерні вони потрапили в створений Гмінний музей духовної та матеріальної культури бойків у Мичкові. У ньому представлено культурне розмаїття Бещад, зібрано предмети, пов'язані з повсякденним, колишнім життям навколишніх сіл, садиб і селищ, увічнено знання про звичаї, обряди, традиції й щоденну роботу людей в XIX і першій половині XX століття. Зокрема, музей зберігає пам'ять про бойків, колишніх жителів Бещад, які протягом понад п'яти століть збагачували барвистий етнічний ландшафт цих земель, і чия історія була радикально перервана в середині минулого століття. Від них залишилися лише деякі сліди їхнього перебування тут та спогади, що вже стираються. Значну частину колекції, представленої в експозиціях, складають старовинні сільськогосподарські та побутові прилади, вироби народних ремесел, меблі, посуд і традиційні тканини. Це переважно вироби ручної роботи, які свідчать про майстерність, навички та способи використання природного середовища для задоволення побутових і естетичних потреб колишніх сільських жителів. Експонати датуються періодом із кінця XIX до середини XX століття, а деякі використовувалися ще навіть десять із лишком років тому. Цінну колекцію експонатів утворюють унікальні народні костюми, у якій представлено як повсякденне вбрання, виконане вручну з льняного або пенькового полотна, так і святкове, оздоблене чарівною вишивкою хрестиком. У колекції музею є сакральні предмети та предмети релігійного культу, як-от: літургійні судини з колишніх церков, табернаклі, фрагменти іконостасів, хрести. У музеї також зібрані архівні матеріали: рукописи, документи, фотографії, легенди та спогади, записані на магнітофонних стрічках. У його архівах також зберігаються нечисленні сімейні реліквії, що залишилися від колишніх жителів навколишніх садиб.

Гмінний Музей духовної та матеріальної культури бойків запрошує вас у сентиментальну подорож довоєнними Бещадами, барвистими, повними життя, — задуматися над історією людей і світу, який залишився лише в минулому. ■



Зв'язатися з музеєм:
38–610 Полянчик, Мичків, буд. 46
+48 13 463 15 69,
poczta@muzeumbojkow.pl
www.goksitsolina.nazwa.pl/muzeum
www.facebook.com/muzeumkulturybojkow/



Na bazarze w Kosowie



Dariusz Dąbrowski (11)



Arel Olejnik

Czy każdy bazar w tej części świata wygląda tak samo? Po części tak – na każdym znajdziemy stragany z przyrządami domowego użytku. Garnki, noże, szczotki, tanie ciuchy, które przybyły prosto z Chin. Trochę narzędzi, gumki, słoiki na weki. Gdzieś rozstawi się ktoś, kto wyprzedaje to, co ma w domu, gdzieś obok stoi stragan z podrzabianymi perfumami. Jeszcze dalej stoiska ze słodyczami, z wypiekami, z wyrobami lokalnej kuchni. Gdzieś pomiędzy tym wszystkim krążą panie sprzedające tradycyjne serowe koniki prosto z tacy, z którą przeciskają się w tłumie.

Na bazarze zasady są jasne – ma się sprzedawać, tak więc sprzedawcy nawołują, zaczepiają, zachwalają swoje towary. Ponadto jesteśmy w rejonach wiejskich, za oficjalnym bazarem zaczyna się więc targ zwierzęcy. Można tam kupić kaczki, kury a nawet świniaka.

Oprócz tego w Kosowie bazar posiada sporą część przeznaczoną na pamiątki dla turystów i lokalne rękodzieło. Kupimy tam koszulę haftowaną ręcznie tradycyjnymi wzorami. Wersje codzienne i na specjalne uroczystości. Alejkę dalej stoją panie prezentujące swoje liżnyki – ręcznie tkane, wełniane koce i dywany. Naturalne wyroby z wełny są nie tylko ciepłe, mają też szereg właściwości zdrowotnych. Wełna choć szorstka, pobudza krążenie. Pomaga w bólach reumatycznych, pourazowych, a także łagodzi migreny i bóle głowy, dlatego obok koców sprzedawane są wełniane poszewki na poduszki. Zaraz przy liżnykach kupić można także grube, ręcznie robione na drutach skarpety. To nie tylko „supergadżet” na mroźną zimę, kiedy z zimna sztywnieją stopy, ale także jak mówi sprzedawczyni: *Dobre rozwiązanie dla osób starszych, ze słabszym krążeniem. Kiedy człowiek już dużo się nie rusza i nogi marzną.*

Na bazarze zobaczyć możemy także lokalne wyroby z drewna. Przy jednym straganie ekspozycja jest niezwykle bogata. *- Mój mąż to wszystko robi, jest cenionym artystą. Wy chyba będziecie u nas z wizytą po południu, prawda?*

Rzeczywiście prezentowane przedmioty są piękne, przepelnione lokalną symboliką, pojawiają się różne odmiany swastyki, inne symbole solarne, w tym wzór, pod którego tytułem odbywa się nasza wyprawa – karpacka rozeta. Pojawiają się też przedmioty sakralne, krzyże połączone z symboliką słońca – dokładnie takie same można zobaczyć w Mu-

zeum Huculszczyzny w Kołomyi. Podchodzę do jednego sprzedawcy i pytam o drewniany talerzyk z wyrzeźbioną swastyką. Ciekawa jestem co powie mi o tym symbolu.

- To starosłowiński znak, bardzo stary. Nasz, tutejszy, czystosłowiński. Ukraińcy, Białorusini, Polacy, my wszyscy jesteśmy prawdziwymi Słowianami, Rosjanie to już nie. Oni nie są czystymi Słowianami. Oni byli pod mongolskim panowaniem, kiedy my tu na tych ziemiach... To oznacza pomyślność. Hitler nie powinien go zabierać.

Tak więc przy okazji wiadomo już co myśli się tu o Rosjanach, być może nic dziwnego biorąc pod uwagę wciąż toczącą się dziwną wojnę, destabilizację kraju i biedę, która zmusza ludzi do wyjazdów zarobkowych – głównie do Polski. Poza zachętą do kupienia pamiątek słyszę cały czas: *Jak w tej Polsce u was? A praca tam jest?*

Co dziwne, żaden z lokalnych artystów nie pomyślał nawet o sprzedawaniu swojego rękodzieła w Polsce czy gdzieś na Zachodzie. Te piękne przedmioty, których wartości świadomi są ich twórcy, mam wrażenie produkowane są w dużej mierze na rynek wewnętrzny. Trudno mi powiedzieć, ile turystów zjawia się po pamiątki latem. Pokazuje to jednak, że rękodzieło na Huculszczyźnie to wciąż żywa tradycja, z której w życiu codziennym korzystają lokalni mieszkańcy. To nie jest tradycja fabrykowna i powielana dla turystów, przyjezdnych, obcych. Nie jest też przetwarzana tak, aby „sprzedało się lepiej”. To wciąż wyroby, które często mimo wysokich cen znajdują lokalnych w dużej części nabywców, stają się przedmiotami codziennego użytku, nie pamiątkami z podróży. To pewnie gorzej świadczy o rozwoju lokalnej turystyki, ale na pewno zachwycić może etnografów próbujących uchwycić i zatrzymać choć na chwilę to co przemijające i zmienne w dzisiejszym świecie. ■



На базарі в Косові

Чи всі базари в цій частині світу виглядають однаково? Частково так — на кожному ми знайдемо лотки з побутовими предметами: баняки, ножі, щітки, дешеві шмотки, які прибули сюди прямо з Китаю. Деякі знаряддя, гумові чоботи, слоїки для консервування. Де-не-де стане хтось, хто продає те, що йому вже не треба вдома. Десь поруч стоїть лоток із підробленими духами, ще далі стенди із солодошами, випічкою, з виробами місцевої кухні. Десь між цим усім кружляють дами, що продають традиційні сирні коники прямо з підносу, з яким вони протискуються через натовп.

На базарі правила прості — треба продати, отож продавці закликають, запрошують, нахваляють свої товари. Крім того, ми перебуваємо в сільських районах, тому за офіційними базаром починається тваринний ринок. Там можна купити качок, курей, і навіть свиню.

До того ж у Косові значна частина базару призначена для продажу сувенірів для туристів і виробів місцевих ремесел. Там можна купити сорочки, вишиті вручну традиційними візерунками, як для щоденного вжитку, так і для особливих урочистостей. У наступній алеї стоять дами, що продають свої ліжники, — вовняні ковдри та килими ручної роботи. Натуральні вовняні вироби не тільки теплі, але й мають низку оздоровчих властивостей. Вовна хоч і груба, стимулює кровообіг. Вона допомагає при ревматичних болях, посттравматичних болях, а також знімає мігрень і головні болі, тому поряд із ковдрами продаються вовняні наволочки для подушок. Поруч із ліжниками можна також купити товсті, в'язані спицями шкарпетки ручної роботи. Це не тільки «супергаджет» для холодної зими, коли ноги деревеніють від холоду, але й, як говорить продавчиня: *Гарне рішення для літніх людей, зі слабким кровообігом. Коли людина вже багато не рухається, і ноги мерзнуть.*

На базарі ми також можемо побачити місцеві вироби з дерева. На одному лотку експозиція є надзвичайно багатого. — *Мій чоловік робить це все самостійно, він є шановним митцем. Ви, певно, прийдете до нас сьогодні вдень, чи не так?*

Виставлені предмети дійсно прекрасні, багато оздоблені місцевою символікою, тут є різноманітні різновиди свастики, інші солярні символи, зокрема й візерунок, що служить назвою нашої експедиції — карпатська розета. Є також сакральні предмети, хрести, поєднані із символікою сонця, — точно такі ж можна

побачити в Музеї Гуцульщини в Коломиї. Я підходжу до одного продавця та запитую про дерев'яну тарілку з вирізаною свастикою. Мені цікаво, що він скаже мені про цей символ.

— *Це старослов'янський знак, дуже старий. Наш, тутешній, чисто слов'янський. Українці, білоруси, поляки, — ми всі є справжніми слов'янами, росіяни — уже ні. Вони не є чистими слов'янами. Вони були під монгольським пануванням, а ми тут, на цих землях... Це символізує добробут. Гітлер не повинен був його присвоювати.*

Так, до речі, уже відомо, що тут думають про росіян, це, мабуть, і не дивно, з огляду на дивну війну, що триває й далі, дестабілізацію країни та бідність, яка змушує людей їздити на заробітки, переважно, до Польщі. Крім заохочення купувати сувеніри, я весь час чую: *Як там у вас у цій Польщі? Чи робота там є?*

Як це не дивно, ніхто з місцевих митців навіть не задумувався про продаж своїх ремісничих виробів у Польщі чи десь на Заході. У мене склалося враження, що ці прекрасні предмети, вартість яких усвідомлюють їхні творці, виробляються здебільшого для внутрішнього ринку. Мені важко сказати, скільки туристів приїжджає по сувеніри влітку. Однак це показує, що ремесла на Гуцульщині — це все ще жива традиція, якою місцеві жителі користуються в повсякденному житті. Це не фабрична та тиражована для туристів, приїжджих та іноземців традиція. Її також не змінюють так, щоби «краще продавалося». Це все вироби, які часто, попри високі ціни, і досі користуються попитом серед значної частини місцевих покупців, стають предметами повсякденного використання, а не є сувенірами з поїздки. Це, напевно, гірше свідчить про розвиток місцевого туризму, але, безумовно, не може не тішити етнографів, які намагаються ухопити й затримати хоча б на мить те, що в сучасному світі є минулим і нетривалим. ■



Zamki ukraińskiego Zakarpacia

Замки українського Закарпаття

Obwód zakarpacki to unikalny dla Ukrainy region. Oddzielają go od reszty kraju nie tylko góry Karpaty, ale również szczególny los dziejowy, albowiem kraj ten już od XI wieku należał do innych państw, niż pozostałe ziemie ukraińskie. Różnica ta pozostawiła swój ślad w zabytkach architektonicznych Zakarpacia, m.in. w jego niezwykłych zamkach. Choć do naszych czasów nie zachowało się ich zbyt wiele, jednak każdy z nich ma wyjątkowe cechy, niespotykane gdzie indziej. Wybierzmy się w małą wyprawę do najciekawszych z nich.

Mukaczewo. Zamek Palanka

Dokładna data założenia zamku w Mukaczewie nie jest znana, ale pierwsze wzmianki o nim pochodzą już z XI wieku. Twierdza zbudowana jest na naturalnym wzgórzu pochodzenia wulkanicznego o wysokości 68 metrów. Mimo to, że pierwszy gród obronny był ziemno-drewniany, zdobyć go, jak potwierdzają kroniki, nie udało się ani oddziałom połowieckiego chana Kuteszka w 1086 r., ani nawet 60-tysięcznej hordzie mongolskiego chana Batu w 1241 r. A pod koniec XIII wieku, gdy kamienne mury zastąpiły dębową palisadę, twierdza stała się jeszcze mocniejsza.

Zamek mukaczewski miał szczęście do dobrych gospodarzy. Jednym z najsłynniejszych średniowiecznych władców twierdzy był podolski książę Fiodor Koriatowicz, który w latach 1396-1414 urządził w nim swoją główną rezydencję. Znacznie rozbudował i umocnił zamek oraz osłonił go ziemnym szańcem.

Książę nakazał wydrążyć w skale wzgórza 85-metrową studnię. Jak opowiada miejscowa legenda, pomógł mu w tym... diabeł. Kopacze nie mogli dostać się do wody, ale pewnego dnia przed Koriatowiczem zjawił się szatan i zaproponował mu układ: worek złota w zamian za naplnienie studni wodą. Skarbiec zamkowy był jednak pusty. Za radą jednego ze swoich rycerzy książę postanowił oszukać szatana. Wrzuciwszy dwie ostatnie złote monety do małego worka, książę dał go diabłu, mówiąc: Oto masz worek ze złotem. Diabeł oburzył się, ale umowę dochował.

W późniejszych czasach zamek mukaczewski stał się obiektem walk magnatów węgierskich, przechodząc z rąk do rąk. W połowie XVII wieku książę Siedmiogrodu Jerzy (György) I Rakoczy odbił go z rąk rodziny Esterházy i twierdza na długo pozostała we władaniu tego rodu. Jerzy Rakoczy przekształcił zamek w stolicę swojego księstwa i zajął się jego

Zakarpatska область - унікальний для України регіон. Він відділений від решти країни не лише Карпатськими горами, а й особливою історичною долею, адже цей край ще з XI сторіччя перебував у складі інших держав, ніж інші українські землі. Ця відмінність знайшла свій відбиток і в архітектурних пам'ятках Закарпаття, зокрема в його знаменитих замках. І хоча до наших днів їх збереглося не так уже й багато, проте кожен з них є в чомусь унікальним. Здійснимо невеличку мандрівку найцікавішими з них.

Мукачево. Замок Паланок

Точна дата заснування замку у Мукачеві невідома, але згадується він уже в документах XI століттям. Твердиня збудована на природній горі вулканічного походження заввишки 68 метрів, відтак здавна вважалася неприступною. Попри те, що фортеця була дерев'яною, взяти її, як свідчать давні літописи, не змогли ні загони половецького хана Кутешка у 1086 році, ні навіть шістдесятитисячна орда монгольського хана Батия в 1241 році. А в кінці XIII століття, коли на зміну дубовому частоколу виросли муrowані стіни, твердиня стала ще міцнішою.

Мукачівському замку щастило на добрих господарів. Одним з найзнаменитіших середньовічних володарів фортеці був подільський князь Федір Коріатович, який володів ним з 1396 по 1414 рік, перетворивши на свою головну резиденцію. Він значно розбудував і укріпив замок та обніс його земляним ровом.

Князь також наказав вирубати у скелястій горі 85-метровий колодязь. Як оповідає місцева легенда, допоміг йому в цьому... чорт. Копачі ніяк не могли дістатися до води, аж одного дня до Коріатовича завітав нечистий і запропонував угоду: мішок золота в обмін за заповнення криниці водою. Замкова казна, як на лихо, виявилася порожньою. За порадою одного зі своїх лицарів князь вирішив обдурити нечистого. Вкинувши у маленький мішечок дві останні золоті монети, князь віддав його чорту, мовляв ось тобі мішок з золотом. Чорт обурився, але умови угоди виконав, заявивши при цьому: «Все одно води з криниці не питимете». І з цими словами стрибнув у колодязь. З того часу з його глибин кожного вечора нібито чути, як на дні виє обдурений чорт.

У пізніші часи Мукачівський замок став об'єктом боротьби угорських магнатів, переходячи від одного роду до іншого. У середині XVII століття семигородський князь Юрій (Дердь) I Ракоці відвоював його у родини Естергазі і фортеця надовго залишилася за його потомками.



Widok Zamek Palanka w Mukaczewie / Вид на замок Паланок у Мукачеві з висоти пташиного польоту



Zamek Palanka w Mukaczewie góruje nad otaczającą go niziną / Замок Паланок у Мукачеві вдаляні на пагорбі



Widok na najstarszą część fortecy z głównego dziedzińca w zamku / Головний двір замку Паланок у Мукачеві



Dziedziniec Zamku Palanka, nowy dach na otaczających go skrzydłach / Двір замку, новий дах на крилах, що його оточують

перебудову. По смерці справу континувала його жона Zuzanna Lorántffy. To właśnie za jej czasów do górnego (staroego) zamku dobudowano średni i dolny oraz zewnętrzną linię obrony.

W dziejach zamku mukaczewskiego była jeszcze jedna legendarna kobieta - wdowa po księciu Franciszku I Rakoczym Helena Zrinska. Chorwatka z pochodzenia, stała się wierną towarzyszką swojego drugiego męża hrabiego Imre Thököly'ego, który stanął na czele węgierskiego ruchu wyzwolenieckiego w konflikcie z Austrią w XVII wieku. Austriacy wsadzili hrabiego do więzienia i oblegli zamek mukaczewski. Na czele jego obrony stanęła Helena Zrinska. Obleżenie trwało od roku 1685 do 1688, a obrońcy twierdzy skapitulowali dopiero z powodu braku żywności i wody (podobno studnia została zatruta przez zdrajcę). Helena wyjechała do Turcji, gdzie po klęsce powstania przebywał jej mąż.

W czasie obleżenia Helena opiekowała się swoimi małymi dziećmi, z których jedno - Franciszek II Rakoczy - 15 lat później stanęło na czele kolejnego powstania narodu węgierskiego, a zamek mukaczewski był jednym z jego głównych ośrodków i ostatnią twierdzą bronią przez powstańców. Po tej klęsce forteca stopniowo traciła na znaczeniu strategicznym. Od 1782 r. monarchia austriacka przekształciła go w więzienie, w którym przez ponad sto lat przetrzymywano ponad 20 tysięcy więźniów, głównie politycznych. Węzienie oficjalnie funkcjonowało do 1896 r., a praktycznie do 1903 r.

Jednak nie tylko ze znanych więźniów słynęła w tamtych czasach dawna twierdza. W latach 1805-1806, w czasach wojen napoleońskich w Europie, została tu ukryta relikwia narodowa i symbol państwowości Węgier - korona świętego Stefana, którą na wszelki wypadek wywieziono z Budapesztu. O fakcie przechowywania w tym miejscu insygnium koronacyjnego królów Węgier od XI wieku przypomina umieszczona na dziedzińcu zamku tablica pamiątkowa z napisem w języku węgierskim.

W XX wieku zamek Palanok był używany głównie jako koszary wojskowe - najpierw armii czechosłowackiej, później węgierskiej i radzieckiej. W czasach ZSRR przekazano pomieszczenia zamkowe na szkołę mechanizatorów, szkołę szefów kolchozów i szkołę zawodową.

Od 1989 r. na zamku mukaczewskim działa Muzeum Historyczne, którego największymi częściami są ekspozycja historyczna i etnograficzna. Działa tu również galeria sztuki, wystawa pisanek i dawnych pocztówek, sale poświęcone postaciom historycznym związanym z dziejami zamku: Fiodorowi Koriatowiczowi i przedstawicielom rodziny Rakoczyców. Przypominają o nich również pomniki ustawione na górnym dziedzińcu twierdzy. Jeden z nich przedstawia księcia Koriatowicza patrzącego w zamyśleniu na swoje dzieło, drugi Franciszka II Rakoczego kładącego rękę na ramieniu swojej matki, kobiety-rycerza Heleny Zrinskiej.

Zamek w Użhorodzie

Legendy datują powstanie zamku w Użhorodzie na wiek IX, a jego założycielem miał być władca słowiańskiego plemienia Białych Chorwatów, książę Laborec. Była to typowe dla czasów drewniano-ziemne foralicjum, które pod koniec IX wieku padło pod naporem koczowniczych Madziarów, którzy przechodzili wówczas przez Karpaty. Gród został spalony, a Laborec miał zginąć w tej bitwie.

Użhorod stał się częścią Królestwa Węgierskiego, a jego zamek z czasem przekształcił się w mocno ufortyfikowaną budowlę, która podobnie jak zamek w Mukaczewie, w 1086 r. przetrwała atak połowieckich oddziałów chana Kuteszki. Najazdu kolejnej mongolskiej hordy drewniany gród już nie przetrwał, więc na jego miejscu z rozkazu króla Beli IV wzniesiono mury.

W 1312 r. zamek w Użhorodzie wraz z okolicznymi gruntami stał się własnością przybyłych z Włoch braci Drugeth. Był to dar nowo obranego króla Węgier Karola Roberta I z francuskiej dynastii Andegawskiej, który ten w sposób podziękował za pomoc w walce o tron. W posiadaniu rodu Drugethów zamek przebywał przez ponad trzy i pół wieku. Pod ko-



Rycina z epoki prezentująca obronę Zamku Palanok w 1686 r. / Istorichna gravjura, na jakij zobrazeno obronu zamku Palanok 1686 roku.

Jurij Rakoczi (jakiy do slova, y 1648 roci, po smerti koroly Vladislava IV, pretenduvav na pol'skyu koronu) peretvoriv zamok y stolitsu svoego kniazivstva i zaiynavsja yogo rozbudovou. Pislja yogo smerti spravu prodovzhyla yogo družyna Zhuzanna Lorantffy. Same za neji do Verchn'ogo (Starogo) zamku bylo dobudovano Serednij i Nizhnij, a takoz zovnisnje obronnye kil'ce.

В історію Мукачівського замку увійшла ще одна легендарна жінка - вдова князя Ференца I Ракоці Ілона

Зріні. Хорватка за походженням, Ілона Зріні стала вірною соратницею свого другого чоловіка графа Імре Текелі, який очолив угорський визвольний рух у XVII столітті. Австрійці запропорили графа до в'язниці і обложили його резиденцію - Мукачівський замок. Очолила оборону замку від австрійського війська Ілона Зріні. Облога тривала три роки, з 1685 по 1688 рік, і капітулювали захисники фортеці лише внаслідок нестачі харчів та води (кажуть, що колодязь був отруєний зрадником). Ілону насильно постригли у монахині, а пізніше вона змогла виїхати до Туреччини, де після поразки повстання жив її чоловік.

Усю облогу поруч з Ілоною Зріні перебували її малолітні діти, один з яких - Ференц II Ракоці - через п'ятнадцять років очолює нову визвольну війну угорського народу, а Мукачівський замок стане одним із її основних центрів і останньою твердинею, яку захищали угорські патріоти.

Після поразки визвольної війни замок поступово втратив своє стратегічне значення. З 1782 року австрійська монархія перетворила його на в'язницю, в якій за понад столітній період утримувалося понад 20 тисяч в'язнів, здебільшого політичних. В'язниця офіційно функціонувала до 1896 року (а фактично до 1903-го).

Втім, не лише відомими в'язнями славилась у ті часи колишня фортеця. Так, у 1805-1806 роках, у часи наполеонівських походів Європою, тут було «ув'язнено» угорську Святу Корону, яку про всяк випадок вивезли з Будапешту. Про цей факт нагадує розміщена у дворі замку меморіальна дошка з написом угорською мовою.

У XX столітті замок Паланок використовувався здебільшого як військові казарми - чехословацькі, угорські, радянські. Пізніше СРСР передав приміщення під навчальні заклади - школу механізаторів, школу голів колгоспів, профтехучилище.

З 1989 року в Мукачівському замку діє історичний музей, найбільшими частинами якого є історична та етнографічна експозиції. Також діють картинна галерея, виставки писанок та старовинних листівок, зали, присвячені славним постатям минулого - Федору Кориатовичу та представникам родини Ракоці. Про них же нагадують і пам'ятники, встановлені у Верхньому дворі замку. На одному з них князь Кориатович замислено дивиться на своє творіння, на іншому Ференц II Ракоці шанобливо поклав руку на плече своєї матері - тендітній жінці-лицарю Ілоні Зріні.

Ужгородський замок

Легенди відносять появу замку в Ужгороді до IX століття, а засновником його називають володаря давньослов'янського племені білих хорватів князя Лаборця. Це мала бути типова для тих часів дерев'яна фортеця, що складалася з дитинця і частоколу. Наприкінці IX століття твердиня князя Лаборця упала під натиском тоді ще кочових мадярів, що переходили через Карпатські гори у пошуках своєї нової землі. Замок було спалено, а Лаборець загинув у цій сутичці.

Ужгород став частиною Угорського королівства, а його замок з часом перетворився на міцну оборонну споруду, яка, як і замок в Мукачеві, у 1086 році витримала напад половецьких загонів хана Кутешка. Навали монгольської орди дерев'яний замок витримати не зміг і на його місці з наказу короля Бели IV постав кам'яний.



Замек в Ужгороді в pełnej okazałości otaczającego go systemu nowożytnych bastionów / Ужгородський замок у всій красі системи ранньомодерних бастионів, що його оточують

niec XVI wieku - według projektu włoskich inżynierów - dokonano gruntownej przebudowy twierdzy z uwzględnieniem najnowszych osiągnięć sztuki fortyfikacyjnej. Wzniesiono mocniejsze mury, na każdym rogu zbudowano romboidalne planie bastiony o wysokości do 15 metrów, na których umieszczono działa broniące dostępu do zamku. Wysokie, masywne mury o grubości do 3 metrów i wysokie na 10 metrów podkreślały wrażenie, że twierdza jest nie do zdobycia. Z trzech stron budowlę otaczała dodatkowo sucha fosa o głębokości 10 metrów, nad którą przerzucono most zwodzony. Z czwartej strony zamek osłaniało strome zbocze.

Sercem zamku jest pałac - piętrowy prostokątny gmach z kwadratowymi wieżami w każdym rogu, praktycznie twierdza w twierdzy. Podobnie jak mury z trzech stron otaczała go głęboką fosą z przerzuconym nad nią mostem zwodzonym. Wodę w czasach oblężenia pobierano z wydrążonej w skale studni. Podziemia zamku tworzą przestronne kazamaty, które w czasie pokoju służyły jako komory, a podczas oblężenia jako schrony. Wykorzystywano je również jako więzienie i sale tortur.

Kolejną dominantą założenia zamkowego była kiedyś cerkiew św. Jerzego, wzmianki o niej pochodzą już z 1248 r., która jednak nie przetrwała do naszych czasów. Fundamenty tej świątyni odkryte podczas prac archeologicznych są obecnie wyeksponowane.

Po śmierci ostatniego męskiego przedstawiciela rodu Drugethów zamek przejął Bercsényi Miklós, żonaty z jego siostrą. Był to czas największego rozkwitu zamku. Bercsényi zaprosił do Użhorodu francuskich inżynierów wojskowych i chorwackiego architekta Stubicza, aby przekształcili oni obronną fortecę w odpowiadający wymogom epoki pałac. Po zakończeniu prac jego komnaty ozdobił zbiór płócien znanych mistrzów, na



Najstarsza część Zamku Użgorod wymaga szybkich i poważnych prac konserwatorskich / Найстаріша частина замку ще чекає ремонтно-реставраційних робіт

У 1312 році Ужгородський замок з навколишніми землями став власністю братів-італійців Другетів. Це був подарунок новобраного короля Угорщини Карла Роберта I з французької Анжуйської династії, який таким чином віддячив італійцям за допомогу в боротьбі за угорський трон. У володінні Другетів замок перебував більше трьох з половиною століть.

Наприкінці XVI століття Другети за проектом італійських інженерів провели ґрунтовну реконструкцію фортеці з використанням найновітніших досягнень фортифікаційного мистецтва. Було вимуровано міцніші стіни, на кожному розі споруджено ромбовидні бастиони висотою до 15 метрів, на яких розмістили гармати, що тримали під обстрілом підступи до замку. Високі масивні стіни товщиною 2,5-3 метри і висотою до 10 метрів підкреслювали відчуття неприступності фортеці. З трьох боків споруду оточував рів завглибшки 10 метрів, через який до в'їзної брами було перекинуто підйомний міст. З четвертого боку замок захищав карколомний схил - настільки стрімкий, що ворог жодного разу не пробував штурмувати замок з цього боку.

Серцевиною замку є палац, розташований на краю цього схилу. Це суворя двоповерхова прямокутна споруда з квадратними вежами на кожному розі, фактично фортеця у фортеці. Палац займав домінуюче положення у фортифікаційній системі замку. Як і замкові стіни, він з трьох сторін він був оточений глибоким ровом з перекинутим через нього підйомним мостом, що у разі потреби піднімався, закриваючи отвір воріт. З четвертої палац захищав уже згаданий схил.



Оригінальний план замку-твердзі в Ужгороді з часів Цесарства Австро-Угорського / Оригінальний план замку-фортеці часів Австро-Угорської імперії



Ефективно освітлену вночі частину головного замку люблять фотографувати туристи / Ефектна підсвітка відремонтованої частини замку вночі

ścianach zawieszono gobeliny, a na otaczającym go terenie założono aż pięć parków. Stale odbywały się tu pełne przepychu bale i przyjęcia, przy zamku na stałe zamieszkała trupa teatralna, a nawet nadworny poeta.

Na początku XVIII wieku zamek w Użhorodzie znalazł się w epicentrum powstania wyzwoleńczego pod wodzą Franciszka II Rakoczego. W 1703 r. oblegały go oddziały chłopskie pod wodzą Iwana Becy'ego z Wyriawy. I co ciekawe, ci słabo uzbrojeni chłopcy zmusili do kapitulacji obrońców tak potężnej twierdzy. Po klęsce powstania w 1711 r. zamek przejęły w posiadanie władze austriackie, które przede wszystkim wywiozły do Wiednia przechowywane w nim zbiory: obrazy, meble, kolekcję drogotnych naczyń, broni, a w twierdzy ulokowały garnizon wojskowy. Armia gospodarowała tu do 1775 r., kiedy to cesarzowa Maria Teresa przekazała go mukaczewskiej diecezji greckokatolickiej w celu utworzenia w nim Akademii Teologicznej. Przeprowadzono wówczas nieznaczna przebudowę zamku, podczas której największą jego salę, zwaną Rycerską, przekształcono w domową kaplicę.

Od 1947 r. w zamku działa Muzeum Krajoznawcze, którego ekspozycje mieszczą się w prawie 40 salach dawnego pałacu-cytaдели. Główną atrakcją zamku jest brązowa rzeźba przedstawiająca Turula - mitycznego ptaka pierwszych Węgrów. Według legendy Turul przyniósł niegdyś szablę Franciszkowi Rakoczemu, dzięki której miał odnieść swoje pierwsze zwycięstwo nad armią austriacką.

Ma zamek w Użhorodzie swoją legendę. Według niej, za czasów jednego z hrabiów Drugethów jego córka zakochała się w mężczyźnie, który nie spodobał się ojcu. W tym miejscu wersje się różnią: czy kochanek był wrogiem-szlachcicem, czy sługą hrabiego, który dołączył do powstania przeciwko właścicielowi zamku. Kimkolwiek był, dziewczyna zdradziła mu tajemnicę tajnego podziemnego przejścia do twierdzy. Rozwścieczony ojciec nakazał замуrować córkę w murze zamkowym. Od tego czasu o północy w zamku pojawia się duch dziewczyny w postaci Białej Damy, która szuka swojego ukochanego, a wraz z piением pierwszego koguta znika.

„Solny” zamek templariuszy w Seredniem

Zakon Ubogich Rycerzy Chrystusa i Świątyni Salomona zwany templariuszami obdarowany był licznymi łaskami papieży i przywilejami świeckich władców. Jednym z nich było prawo do handlu solą z kopalni solotwiskich. Wzdłuż całego „szlaku solnego” z Zakarpacia do Europy zakon zbudował szereg umocnień, które były używane zarówno jako placówki celne, jak i miejsca stacjonowania załóg wojskowych, zabezpieczających bezpieczeństwo karawan. Jednym z tych umocnionych punktów był zamek w Seredniem, wznieiony w 1146 r. ze środków Frois de Barmaneta. Co ciekawe, w przeciwieństwie do większości średniowiecznych zamków, które zostały zbudowane na naturalnych lub sztucznych wzniesieniach, zamek w Seredniem powstał pośrodku rozległej równiny.

Jest to jedyny zamek na Zakarpaciu, w którym zachowała się budowla w stylu romańskim - jest to fortalitium obronne w postaci wieży typu



Kamienne mury forteczne z nadbudowanymi bastionami Zamku Użgorod powstały w XVI wieku / Kam'яні стіни фортеці з надбудованими bastionami Ужгородського замку

Палацу має внутрішній дворик з видовбаним в скельній породі колодязем. А у його підвальної частині є простори підземні каземати, які в мирний час служили коморами, а під час облоги замку — сховком. У підземеллях розищалися також в'язниця та камера катувань.

Ще однією домінантою замкового подвір'я колись була церква святого Юрія, яка не дійшла до наших днів. Церква вперше згадується в документах 1248 року. Відомо, що саме у ній в 1646 році була укладена Ужгородська унія — акт церковного об'єднання з Римом священиків Мукачевської православної єпархії. Підмурки колишнього храму були виявлені під час археологічних розкопок і законсервовані.

Після смерті останнього чоловіка з роду Другетів замок перейшов до Миколаша Берчені, одруженого на його сестрі. Це був час найбільшого розквіту замку. Берчені запросив в Ужгородський замок французьких військових інженерів і хорватського архітектора Стубіча, щоб вони перетворили графську резиденцію в більш сучасний і розкішний палац. Тут постійно проводились пишні бали та прийоми, при замку проживали театральні актори і придворний поет. Зали палацу прикрашали величезні колекції дорогих полотен, гравюр та gobelenів, а на довколишній території розкинулись аж п'ять парків.

На початку XVIII століття Ужгородський замок опинився в епіцентрі визвольного повстання під проводом Ференца II Ракоці. У 1703 році твердиня була обложена селянськими загонами під проводом Івана Беци з Виряви. І, як не дивно, погано озброєні селяни врешті-решт змусили до капітуляції шляхтичів, що обороняли замок.

Після поразки повстання у 1711 році Ужгородський замок перейшов у розпорядження австрійської корони, яка у першу чергу вивезла до Відня усі матеріальні цінності: картини, меблі, колекцію дорогоцінного посуду, зброю, а фортеці розмістила військовий гарнізон.

Військовики хазяйнували у замку до 1775 року, коли імператриця Марія-Терезія передала його Мукачівській греко-католицькій єпархії для створення богословської академії. Тоді була проведена незначна перебудова замку, під час якої найбільший його зал, званий лицарським, було перетворено на внутрішню каплицю.

З 1947 року і донині у замку діє краєзнавчий музей, експозиції якого розміщені у майже 40 залах колишнього палацу-цитадели.

Родзинкою замку є бронзова скульптура турула - міфічного птаха стародавніх угрів. За переказами, турул колись приніс шаблю Ференцу Ракоці, завдяки якій той отримав першу перемогу над австрійським військом.

Має Ужгородський замок і свою легенду. Згідно неї, у часи якогось із графів Другетів його донька закохалася в чоловіка, який не сподобався батькові. Тут версії розходяться — чи то коханець був ворогом-шляхтичем, чи то графовим слугою, що пристав до повстання проти власника замку. Ким би він не був, дівчина виказала йому таємницю потаємного підземного ходу до фортеці і розлючений батько наказав замурувати доньку в замковій стіні. З того часу опівночі в замку з'являється привид дівчини (так звана Біла Діва), яка шукає свого коханого, а з першими півнями зникає.

«Соляний» замок тамплієрів у Середньому

Легендарний орден хрестоносців-тамплієрів, осипаний у середньовіччі ласками римських пап, серед інших привілеїв отримав право на торгівлю солотвинською сіллю. Вдоль усього «соляного шляху» із Закарпаття до Європи орден звів низку укріплень, які використовувались і як митні пости, і як місця дислокації військових залог для безпеки караванів. Одним з цих укріплених пунктів і був Середнянський замок, споруджений у 1146 році коштом Фруа де Барманьє. Що цікаво, на відміну від більшості середньовічних замків, які будувалися на природних або штучних височинах, замок у Середньому збудований посеред розлогої рівнини.

donżon. Takie wieże, wzniesione na wzór starożytnych rzymskich wież strażniczych, służyły jako wartownicze i nie były one przeznaczone do stałego zamieszkania, ale w razie potrzeby mogły stać się potężnymi punktami obrony. Donżony zapewniały dobry zasięg obserwacji i umożliwiały prowadzenie ostrzału okrężnego. Dodatkową ochronę wieży zapewniał pierścieniowy system wałów i fos. Cechą charakterystyczną średniowiecznego zamku były kamienne mury z cylindrycznymi wieżami w narożnikach, które wzmacniały obronne wały twierdzy.

Zachowany donżon w Seredniem ma trzy kondygnacje. Jego wymiary wynoszą 8,6 x 16,5 metrów, wysokość sięga 20 metrów, a grubość ścian 2,6 metra. Mury wzniesiono z kamienia łamanego, a ściany zewnętrzne ze starannie obrobionych kamiennych bloków. W celu bezpieczeństwa pierwsza kondygnacja wieży była pozbawiona otworów, a wejście do niej znajdowało się dopiero na poziomie drugiej kondygnacji. Prowadziła do niego od strony dziedzińca drewniana drabina, którą w razie potrzeby łatwo było usunąć.

Wewnątrz w czasie prac archeologicznych odsłonięto dół zasypyany kamieniami. Prawdopodobnie była tu kiedyś studnia, a więc twierdza templariuszy była w stanie wytrzymać długie oblężenie.

W 1312 r. papież Klemens V pod naciskiem króla Francji Filipa IV Pięknego zawiesił zakon templariuszy. Od tego czasu po świecie krążyły legendy o niesamowitych skarbach ukrytych przez zakonników-rycerzy przed jego ostateczną likwidacją. Nie zapomniano w tych legendach i o zamku w Seredniem. Nadal istnieją przekazy, że pod murami donżonu mieszczą się kryjówki z klejnotami. A niektórzy twierdzą, że to właśnie tutaj - w jednym z najbardziej odległych od zachodniej Europy zamków - ukryto mitycznego Świętego Graala, który rzekomo posiadali templariusze.

Kolejnymi właścicielami fortalicjum zostali mnisi z zakonu św. Pawła. Jednak nie na długo, gdyż zaangażowali się w spór o koronę węgierską i na swoje nieszczęście poparli nie tego pretendenta co trzeba. Po zwycięstwie król Karol Robert, pierwszy z Andegawenów na tronie węgierskim, oddał twierdzę w ręce lojalnych możnowładców.

Na początku XV wieku zamek stał się areną starć pomiędzy magnackimi rodami Drugethów i Palóców, które zakończyły się na korzyść tych ostatnich. Palocowie władali zamkiem do 1526 r., kiedy to w wyniku śmierci ostatniego przedstawiciela rodu w bitwie z Turkami pod Mohaczem twierdza przeszła w ręce rodu Dobo. Nowi władcy wzmocnili zamek, a ponieważ zajmowali się winiarstwem, znacznie rozbudowali i pogłębili jego piwnice, których łączna długość sięga 4 kilometrów.

Czas panowania Dobo był ostatnim jasnym okresem w dziejach zamku. W XVII-XVIII wieku Zakarpacie stało się areną ciągłych konfliktów zbrojnych: austro-tureckich i austro-węgierskich. Każdy z nich przyczynił się do niszczenia dawnej twierdzy templariuszy. Po ostatecznym stłumieniu powstania pod wodzą Franciszka Rakoczego w 1711 r. na Zakarpaciu nareszcie zapanował pokój, jednak zniszczony zamek w Seredniem już nie został odbudowywany.

Obecnie zamek jest w stanie ruiny, chociaż w czasie prac wykopaliskowych w 2. połowie XX wieku dokonano konserwacji zabytku, a w latach 2002-2003 częściowo odrestaurowano wzmacniając mury zewnętrzne. ■



Widok na ruiny kamiennego zamku w Seredniem z lotu ptaka oraz z zabiegi perspektwy / Вид на руїни замку в Середньому з висоти пташиного польоту (руїни кам'яного замку чекають ремонту)

Це єдиний замок Закарпаття, в якому в збереглися риси романського стилю. Це оборонна споруда у вигляді башти-донжону. Такі башти, зведені за прообразом давньоримських сторожових веж, були дозорними і не призначались для постійного проживання, але за необхідності могли стати потужними пунктами оборони. Донжони мали добру зону огляду і мали можливість кругового обстрілу. Додаткового захисту башті надавала кругова система валів і ровів. Особливістю Середнянського замку був кам'яний мур з циліндричними наріжними баштами, що посилював оборонні вали фортеці.

Середнянська вежа-донжон має три яруси, її розміри 8,6 x 16,5 метрів, висота сягає 20 метрів, а товщина стін — 2,6 метрів. Стіни викладені з каменю та буту, і з обох боків акуратно облицьовані відшліфованим каменем, що не тільки посилювало міцність стін башти, але й значно пом'якшувало суворість споруди.

Задля безпеки перший ярус вежі був глухим, а вхід до неї розміщався на рівні другого ярусу. До нього вела з боку двору дерев'яна драбина, яка при необхідності легко піднімалася, а то й спалювалася.

Усередині приміщення під час археологічних розкопок було знайдено яму, засипану камінням. Вірогідно тут колись був колодязь, відтак укріплення тамплірів було здатне витримати тривалу облогу.

У 1312 році римський папа під тиском французького короля ліквідував орден тамплірів. З того часу світом блукають легенди про неймовірні скарби, заховані орденом перед своїм знищенням. Не оминули подібні легенди і Середнянський замок. Досі існують перекази, що під мурами донжону існують сховки із коштовностями. А дехто вірить і у те, що саме тут схований і міфічний святий Грааль, яким нібито володіли тампліери - мовляв, для заховання свого найдорожчого скарбу орден вибрав один із найвіддаленіших замків.

Після тамплірів замок опинився у власності монахів ордену святого Павла. Проте ненадовго — ченці втрутилися у суперечку за угорську корону і, на лихо, підтримали не ту сторону. Після поразки їхньої партії король Карла Роберт I передав фортецю більш лояльним власникам.

На початку XV століття замок у Середньому став ареною боротьби між магнатськими родами Другетів і Палочі, яка завершилась на користь останніх. Палочі володіли замком до 1526 року, коли внаслідок загибелі останнього представника роду у битві з турками при Могачі твердиня перейшла до роду Добо. Нові володарі зміцнили замок і, оскільки серйозно займалися виноробством, значно розширили і поглибили його підвали, загальна протяжність яких сягає 4 кілометрів.

Час правління Добо став останнім світлим періодом у історії замку. У XVII—XVIII століттях Закарпаття стало ареною постійних військових сутичок: австро-турецьких та австро-угорських. І кожна з них вносила свою лепту у процес руйнування колишньої твердині тамплірів. Після остаточного придушення повстання під проводом Ференца Ракоці в 1711 році у Закарпатті нарешті запонував спокій, проте зруйнований замок у Середньому перестав бути цікавим потенційним власником. Після цього він більше не відновлювався.

Нині замок перебуває у напівзруйнованому стані, хоча під час розкопок у другій половині XX століття було проведено консервація пам'ятки, а у 2002-2003 роках частково реставровано зовнішні стіни. ■



W poszukiwaniu rumuńskiej etnogenezy

Obszar karpacki, który rozumiem nie tylko jako tereny górskie, ale także sąsiadujące z nimi pogórza, doliny i niziny zamieszkuje wiele różnych grup i narodów. Pochodzenie części z nich nawet współcześnie nie do końca jest znane, a historia ich pojawienia się na terenie zajmowanym w czasach historycznych nierzadko urasta do mitologicznych opowieści.

Dzieje się tak z kilku przyczyn, między innymi, badacze dysponują bardzo ograniczoną bazą źródłową dotyczącą tej części Europy w okresie wczesnego średniowiecza. Innym czynnikiem jest także to, że na historyczne przyglądanie się procesom etnogenezy poszczególnych grup wyraźnie wpływa narodowa ideologia, której mimo zapewnień o swoim obiektywizmie ulegają również historycy, zarówno ci zajmujący się historią narodową, jak i regionalną. Ci zajmujący się narodem nierzadko patrzą na jego dzieje przez narodowe soczewki rozmywające krytyczne i ostre patrzyenie w przeszłość. Tym samym minione czasy poszczególnych grup stają się poletkiem spekulacji, manipulacji i domniemań, którymi chętnie karmią się narodowe i etniczne mitologie.

Jedną z takich grup, choć z całą pewnością nie jedyną w tej części świata, są Rumuni. Przyglądając się im i ich przeszłości jednym, a być może jednym z pewników jest to, że język rumuński ma łacińskie korzenie, stawiające go obok języka portugalskiego, hiszpańskiego, francuskiego czy retoromańskiego we wspólnej rodzinie języków romańskich. Pierwsze hipotezy dotyczące pochodzenia ludności romańskojęzycznej Wołoszczyzny, Mołdowy i Transylwanii, czyli trzech najważniejszych części Rumunii, pojawiły się już w okresie renesansu. Według ówczesnych historyków rumuńskich mieszkańcy wspomnianych obszarów mieli się wywodzić bezpośrednio od starożytnych Rzymian. W tym czasie jednak na obszarze dzisiejszej Rumunii z racji panującej na tym terenie religii prawosławnej kulturowe związki silniejsze były nie z kulturą łacińską, a z kulturą wschodnio- i południowo-słowiańską oraz grecką.

Na ziemiach rumuńskich głosy o łacińskich korzeniach zaczęły się pojawiać w XVII w. w czasach, gdy pierwsi z miejscowych rodów szlacheckich młodzieńcy wyruszyli za edukacją do Europy Zachodniej. Wkrótce rumuńscy historycy po-



Fragment płaskorzeźb na Kolumnie Trajana w Rzymie - pomniku wzniesionym w 113 r. n.e. na Forum Trajana dla upamiętnienia zwycięstw cesarza w walce nad Dakami

raz pierwszy, na podstawie podobieństw języka rumuńskiego z łaciną, zaczęli wysuwać przypuszczenia o rzymskim rodowodzie mieszkańców Mołdowy, Wołoszczyzny czy Siedmiogrodu. Z całą stanowczością pisał o tym Dimitrie Cantemir w I poł. XVIII w. w *Kronice dziejów rzymsko-mołdawsko-wołoskich* podkreślając bezpośrednie pochodzenie Mołdawian i Wołosów od Rzymian. Ci mieli się pojawić na tych ziemiach w czasach cesarza Trajana na skutek podboju Dacji zamieszkanej przez Daków.

Lucian Boia, znakomity historyk z Rumunii, uważa że rumuńskie przywiązanie do mitu rzymskiego pochodzenia jest konsekwencją między innymi pewnej peryferyjności kraju, który niemal zawsze komuś podlegał, przez kogoś był najeż-

dżany i podbijany. Pokusa chwalenia się swym rzymskim rodowodem przez podbitych i zdominowanych może być traktowana jako swoisty historyczny rewanż na najeźdźcach, którzy nie mogą wykazać tak szlachetnych korzeni. Używanie mitu łacińskiego dodatkowo pomocne było w erze tworzenia się nowoczesnego narodu rumuńskiego (XIX w.) służąc narodowej konsolidacji i tworzeniu przekonania o długiej ciągłości rumuńskiego ludu. Dodatkowo mit ten służył również w odcinaniu się od związków ze światem bizantyjskim i słowiańskim, był doskonałym narzędziem pomagającym w otwieraniu niektórych rumuńskich sfer na świat Europy Zachodniej.

Oczywiście nie jest tak, że rumuńska historiografia wierzy bezkrytycznie w rzymskie pochodzenie Rumunów. Już w II połowie XIX w. pojawiły się silne głosy krytyczne na ten temat. Rumuńscy historycy zaczęli zwracać uwagę, że po podboju Dacji rzymska kolonizacja nie była masowym zjawiskiem, a kolonisci pochodzili z różnych stron Imperium Rzymskiego i niekoniecznie wszyscy byli „czystymi” Rzymianami. Łączyć mógł ich język łaciński. Co więcej, podbój Dacji nie oznaczał, że zniknęli Dakowie. W konsekwencji w rumuńskich refleksjach nad początkami rumuńskiego ludu nastąpiła pewna modyfikacja polegająca na tym, że zaczęto mówić o dacko-rzymskich korzeniach współczesnych Rumunów.

Uznanie Daków jako współtworzących rumuński lud generuje jednak innego rodzaju problemy. Bo czy to Dakowie czy Rzymianie mieli większy wpływ na kulturę rumuńską? Tych pierwszych chętnie doceniali rumuńscy nacjonałści, drudzy wygodni byli elitom dążącym do otwarcia się na świat Europy Zachodniej. Wyzwaniu pogodzenia dackich i rzymskich korzeni sprostać musieli historycy i archeolodzy. Jeden z głosów dowodził, że Rumuni są w równym stopniu spadkobiercami Dacji, jak i Rzymu.

Poglądy na temat pochodzenia danego ludu nie są stałe, ciągle ewoluują nie tylko pod wpływem rozwijających się badań, ale także pod wpływem zmieniających się czynników polityczno-społecznych. Nie inaczej rzecz się ma z twierdzeniami na temat pochodzenia interesującego nas tu narodu. Po fazie rzymskiej i dacko-rzymskiej pojawiła się narracja podkreślająca, iż Rumunii są w prostej linii Dakami, choć zromanizowanymi. Jednym z wyraźnych głosów w tym tonie była praca Nicolae Densușianu, który w opublikowanej w 1913 r. książce dowodził iż państwo Dackie na 6 tys. lat przed narodzeniem Chrystusa było potężnym imperium władającym basenem Morza Śródziemnego i częścią Azji. Co więcej, to z obszaru nad Dunajem u podnóża Karpat cywilizacja miała promieniować na cały świat. To nie Dakowie mieli zacząć mówić po łacińsku, a właśnie Rzymianie po dacku. Figura dackiej wyspy odmiennej od całego otaczającego ją świata była bardzo atrakcyjna zarówno dla rumuńskich nacjonalistów okresu międzywojnia, jak i komunistów lat 70-80. XX w. na czele z Ceaușescu. Także współcześnie wiara w dackie pochodzenie Rumunów oraz to, że Dakowie swojego czasu tworzyli centrum cywilizacji, znajduje swoich zwolenników przede wszystkim w środowiskach narodowych. O znaczeniu tego starożytnego ludu dla rumuńskiej mitologii narodowej świadczyć może to, że w przestrzeni publicznej współczesnego państwa nie brakuje symbolicznych nawiązań do dackich tematów. Znakomitym przykładem tego jest ogromna skalna rzeźba ostatniego z dackich władców Decebalu znajdująca się w pobliżu Żelaznych Wrót. Cóż, wiele z narodowych mitologii ma swoich wyobrażonych Lechitów czy Trypców, którymi próbuje się wyleczyć kompleksy i zrekompensować nie do końca zadawalającą rzeczywistość.

Innym problemem, który nie sposób przemilczeć to kwestia ciągłości i niezmienności osadnictwa na ziemiach rumuńskich. Choć jak wspominałem wyżej szukanie mitycznych korzeni u Rzymian i Daków ma swoich zwolenników, to opowieści te przemilczają liczny ruch osadniczy wchodzący na ten obszar na przestrzeni wieków od wycofania się Rzymian po najazd tatarski z XIII w. Ziemię obecnej Rumunii gościły ludy germańskie, słowiańskie, węgierskie, irańskie czy tureckie. Każdy z przybyszów niewątpliwie zostawiał część swojej populacji wraz z elementami swej kultury i oczywiście genami. Niewątpliwie jednak jednym z najważniejszych żywiołów osadniczych okazali się Słowianie przybywający na ziemie w sercu Karpat w VI-VII w. Ulegli oni jednak romanizacji, choć wiele elementów przyniesionych przez nich na stałe wrosło



Dacja na mapie Bałkanów w *Cosmographia Claudii Ptolomaei Alexandrini* (ok. 140 r. n.e.) ze średniowiecznego wydania zbioru przez Nicolausa Germanusa w 1467 r., zbiory Biblioteki Narodowej w Warszawie

w rumuńską kulturę. Wg niektórych historyków (np. Ioan Bogdan) Słowianie mieli być jednym z ważniejszych elementów budujących rumuńską mozaikę. Wpływy słowiańskich ludów widoczne są do dziś na przykład w języku rumuńskim, który zawiera w sobie bez liku sławizmów. Znaczenie Słowian w historiografii zajmującej się etnogenezą Rumunów nigdy nie osiągnęło jednak poziomu dackiego czy rzymskiego. Być może dlatego, że rumuńskość jako idea narodowa u swych początków kształtowała się w kontrze do słowiańskiego otoczenia. To ostatnie pozostaje aktualne do dziś, gdyż spośród sąsiednich państw jedynie Węgry nie mają słowiańskich korzeni.

W badaniach rumuńskiej etnogenezy obok problemu pochodzenia Rumunów wyraźnie obecne jest także zagadnienie dotyczące tak zwanego problemu ciągłości. Kwestia tego czy Rumunii jako lud ukształtowali się na obszarze obecnej Rumunii czy może jednak na innym obszarze spędzali sen z powiek nie jednemu historykowi. Jedną z teorii mówi o migracyjnym pochodzeniu Rumunów, którzy mieliby przybyć na obecne obszary z terenu północnych Bałkanów od XI w. lub ok. XIII w. Teoria ta jest ważna nie tylko w swoim historycznym aspekcie, ale także w politycznym, gdyż stwarza doskonałe pole do sporów między narodowo nastawionymi historykami węgierskimi i rumuńskimi. Ci pierwsi korzystając z przytoczonych twierdzeń uważają, że byli pierwszymi osadnikami w Transyl-

wanii, do której dopiero później przybyli Rumuni. Tym samym ich pierwszeństwo i ciągłość osadnicza na tym terenie miałyby być argumentem przemawiającym za węgierskim prawem do tego obszaru. Argumentów wspierających teorię migracyjną jest kilka. Po pierwsze, o ile północne Bałkany podlegały Rzymowi przez osiem wieków, o tyle obszary na północ od Dunaju tylko przez niecałe dwa stulecia, a tym samym trudno sobie wyobrazić, aby proces romanizacji mógł odbyć się skutecznie na obszarze współczesnej Rumunii. Po drugie, ubóstwo źródeł wspominających obecność Rumunów w Siedmiogrodzie między III a XIV w. Wyjątkiem jest kronika *Gesta Hungarorum* z końca XII w. wspominająca co prawda o niewielkich księstwach rumuńskich na obszarze Transylwanii w czasie przybycia Węgrów (ok. 900 roku), ale znaczenie tej kroniki podważane jest przez wielu historyków. Po trzecie, ważnym jest czynnik ideologiczny, w myśl którego na terenie Siedmiogrodu o swoje pierwszeństwo zabiegają Węgrzy, podkreślając, że Rumunii przybyli na ten teren dopiero po nich. Podkreślanie ciągłości osadnictwa rumuńskiego jest jednak polityczne, choć tym razem z korzyścią dla Rumunów, wpisując się w narodową ideologię. Zwolennicy teorii imigracyjnej podkreślają, że w języku albańskim i rumuńskim można znaleźć podobieństwa, w tym grupy wspólnych słów, co ich zdaniem ma świadczyć o ich dawnym sąsiedztwie na Bałkanach. Poza tym także ważne podo-



„Rzeźba Decebala” mierzy 42,9 m wysokości i 31,6 m szerokości i przedstawia wykuty w skale zarys twarzy ostatniego króla Daków, którzy walczyli przeciwko cesarzom rzymskim. Płaskorzeźba powstała w latach 1994-2004, na skalistym nabrzeżu Dunaju, w okolicy Żelaznych Wrót, które tworzą granicę między Rumunią i Serbią. Prywatny przedsiębiorca kupił skałę w 1993 r. i zamówił model rzeźby u włoskiego rzeźbiarza Mario Galeottiego. Pierwszych sześć lat zajęło nadanie podstawowej formy za pomocą dynamitu, a pozostałe cztery lata poświęcone były wykonaniu szczegółów przez zespół 12 rzeźbiarzy.

bieństwa językowe są dostrzegane w rumuńskim i języku arumuńskim z obszaru Grecji, Albanii i Macedonii. Oczywiście zwolennicy rumuńskiej ciągłości znajdują kontrargumenty. Milczenie źródeł nie odnosi się jedynie do „nieobecności” rumuńskiej w Siedmiogrodzie, ale także brak w nich wzmianek o obecności Rumunów w północnych Bałkanach, czy o ich domniemanej migracji na północny brzeg Dunaju.

W dobie komunizmu narodowego na rozkaz wodza archeolodzy mieli dowieść ciągłości rumuńskiego osadnictwa na całym terytorium rumuńskim. Oczywiście udowodnili, choć interpretując współcześnie ich badania owej ciągłości nie sposób się dopatrzeć. W tym czasie na kartach naukowych debat pojawiła się kultura Dridu. Jej ślady znajdowano zarówno w Rumunii, jak i w Bułgarii. Nie przeszkadzało to jednej ze stron trakto-

wać ją za kulturę Rumunów, choć inne głosy spoza tego kraju wskazywały, że była to kultura słowiańska.

Podsumowując nieco dotychczasowe rozważania można stwierdzić za L. Boią, że Rumunia to taki ciekawy przypadek, zapewne nie jedyny w Europie, w którym w oparciu o te same źródła dotyczące przeszłości wysuwa się skrajnie różne interpretacje dziejów. *Rumunii uformowali się albo na terytorium odpowiadającym nowoczesnej Rumunii, albo tylko na części tego terytorium, albo na terytorium znacznie większym niż dzisiejsza Rumunia, albo zupełnie poza granicami rumuńskimi* (Boia 2016: 60).

Na koniec warto jeszcze kilka słów powiedzieć o języku rumuńskim, jakże wyjątkowym wśród wszystkich języków romańskich. O ile strukturalnie język Rumunów jest w pełni romański, o tyle leksykalnie sprawa nieco bardziej się komplikuje. W języku tym w pewnym sensie można odnaleźć ślady przeszłości ziem rumuńskich i społeczności ją zamieszkujących. Stąd też oprócz słów o łacińskim rodowodzie (*om* – człowiek, *femeie* – kobieta) niemało znajdziemy leksyki o słowiańskich korzeniach (*nevastă* – niewiasta, *boier* – bojar, *voievod* – wojewoda), ale także o pochodzeniu tureckim (*musafir* – gość, *dușman* – wróg, *tavan* – sufit, *chibrit* – zapalka, *ciorbă* – zupa, *sarmale* – gołąbki), greckim (*ieftin* – tani, *frică* – strach, a *lipsi* brakować), albańskim czy węgierskim (*oraș* – miasto – węgierski *varos*, *hotar* – granica, *neam* – lud). Niemniej jednak o ile można budować zdania w ję-

zyku rumuńskim w oparciu jedynie o słownictwo łacińskie to nie da się ich zbudować tylko przy użyciu „obcej” leksyki. Słowiańskie pochodzenie ma wiele słów związanych z ludzkim ciałem, gospodarką rolną i hodowlaną, wojskowością i organizacją społeczną. Słowianie zostawili Rumunom także wiele swoich toponimów obecnych w nazwach rzek czy gór i wzgórz. Nieco mniejszy ślad w rumuńskim zostały po sobie języki tureckie, zarówno związane z czasami osmańskimi, jak i wcześniejszymi ludami tureckimi obecnymi w przestrzeni rumuńskiej (Kumanowie, Pieczyngowie czy Tatarzy). Tureckie korzenie można odszukać zwłaszcza w rzeczownikach będących śladem niemal 400 lat wspólnej historii Osmanów i mieszkańców terytorium współczesnej Rumunii. Słowem, język rumuński jest swoistym odzwierciedleniem wielowątkowej historii rumuńskich ziem, przez co doskonale można odnaleźć w nim różnego rodzaju wpływy i naleciałości. ■

Bibliografia:

J. Demel, *Historia Rumunii*, Zakład Wydawniczy Ossolińskich, Wrocław -Warszawa-Kraków 1970.

L. Boia, *Rumunii: świadomość, mity, historia*, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2003.

L. Boia, *Dlaczego Rumunia jest inna?*, Międzynarodowe Centrum Kultury, Kraków 2016.

L. Boia, *Jak zrumunizowała się Rumunia*, Universitas, 2018.

Tomasz Kosiek – etnolog, pracownik naukowy Instytutu Historii Uniwersytetu Rzeszowskiego. Obszary zainteresowań badawczych: tożsamość etniczna i kulturowa w Europie Środkowo-Wschodniej, ukraińska mniejszość narodowa w Polsce i Rumunii, społeczności lokalne Karpat Wschodnich w Ukrainie, Polacy we Lwowie.

„Na rachmańską Wielkanoc”

Bardzo zaintrygowało mnie to zapomniane porzekadło wielkanocne. Zwróciło moją uwagę przy opracowaniu przysłów wielkanocnych, związanych z Wielkim Tygodniem i świętami. Nie zdecydowałem się na opublikowanie, bo nie wiedziałem jakie może być jego prawdziwe znaczenie. Przeczuałem, że może chodzić o coś, co jest... odłożone w czasie, opóźnione, co trwa lub dzieje się ponad przyjętą miarę czy normę.

Internetowe poszukiwanie „Rachmana” lub „Rachmanów” skutkowało informacjami o... Siergieju Rachmaninowie, słynnym, wybitnym rosyjskim kompozytorze. Wreszcie trafiłem wreszcie na publikację z 2014 r., w której Jacek Ukłaja opisuje „Rachmanskyj welykdeń” - dawny huculski obrzęd wielkanocny: *Jednym z najbardziej osobliwych obrzędów wielkanocnych na terenach dawnej Rzeczypospolitej był rachmanskyj welykdeń, czyli wielkanoc rachmańska, obchodzona do niedawna - a być może nawet do dziś - na Pokuciu. Rachmanowie to według wierzeń Huculów małe istoty ludzkiego kształtu, zamieszkujące podziemia w jakimś odległym kraju na wschodzie, w stepie. Ukryci przed okiem ludzi, pędzą pobożne życie w swoim państwie pełnym pokoju i harmonii, a według niektórych to właśnie ich modlitwy utrzymują w równowadze nasz grzeszny świat. Są chrześcijanami, choć nieobca ma być im także znajomość czarodziejskich sztuk, dzięki którym mogą dokonywać czynów nadludzkich. Reszta ludzkości ma z nimi kontakt jedynie na wiosnę, w Wielkanoc, kiedy to po powrocie z cerkwi rzuca się do strumieni przeznaczone dla Rachmanów skorupki święconych jaj.*

Wierzy się bowiem, że po okresie pięciu i pół tygodnia (według innych źródeł 20 dni) skorupki te dopłyną do królestwa Rachmanów, zawiadamiając ich o tym, że nastąpiła Wielkanoc (gdyż z jakiegoś niewiadomego nam powodu Rachmanowie nie potrafią dokładnie odmierzać czasu). Po odebraniu skorupki zaczynają bić w dzwony swoich świątyni, a dźwięk ten niesie się podobno po stepie i górach, i niekiedy dociera nawet do Huculów. Wówczas wszyscy składają sobie wyrazy pojednania i wybaczą wzajemne przewiny. Co ciekawe słowo rachmanić ma, zdaniem Stanisława Vincenza, znaczyć „łagodzić”.

Racjonalną genezę rachmańskiej Wielkanocy próbował dać Ferdynand Ossendowski, który uważał, że jest to jakieś blade wspomnienie dawnych wojen z Turkami (słowo rachman jest zapewne tureckiego pochodzenia), których wojska raz po raz przemierzały Pokucie w tę i na zad, z powrotem wiodąc kolumny jeńców bądź dzieci branych w jasyr. To właśnie dla nich, jeńców w tureckiej niewoli - którzy w ciemnościach więziennej celi stracili

rachubę czasu - przeznaczone mają być pisanki, które z biegiem Dniestru czy Prutu spływają do Morza Czarnego i na jego falach dryfują aż pod Stambuł.

Jeśli Ossendowski ma rację, *rachmanskyj welykdeń* byłby pięknym wyrazem pamięci o tych, którzy wbrew swojej woli musieli opuścić ojczyznę i nigdy nie dane im było powrócić.

Postanowiłem nieco jednak temat zgłębić, kontynuując poszukiwania. Tak trafiłem na książkę *Pokucie pod względem archeologicznym* badania, napisaną przez Adama Honorego Kirkora, wydaną nakładem Drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego, w 1876 r.

Adam Honory Kirkor (1819-1886) był XIX-wiecznym wydawcą, archeologiem i publicystą, piszącym także pod pseudonimem Jan ze Śliwina. Urodził się bowiem w Śliwnie na Mohylewsczyźnie (wschodnia Białoruś), zmarł w Krakowie. Był urzędnikiem Izby Skarbowej Wileńskiej, redaktorem i wydawcą „Pamiętników Umysłowych”, „Teki Wileńskiej” i urzędowego „Kuriera Wileńskiego”. Był także członkiem Komisji Archeologicznej Wileńskiej i kustoszem jej Muzeum Starożytności. Prowadził badania archeologiczne na Wileńsczyźnie oraz w Galicji. Był członkiem krakowskiej Akademii Umiejętności, autorem prac z zakresu etnografii, archeologii, sztuki, historii, w tym pierwszego polskiego przewodnika po Wilnie *Przechadzki po Wilnie i jego okolicach* (1856).

Oto Kirkora spojrzenie na „Rachmański welykdeń” i opis obyczaju (cytuję zgodnie z pisownią oryginału): *Do zabytków sięgających czasów odległych zastosować nam wypada tradycyjne wspomnienia Rusinów pokuckich o niektórych zwyczajach i obrzędach pogańskich, które do dziś dnia przechowują, chociaż znaczenia ich prawdziwego nikt już nie wie. Tak np. święcą tam dwudziesty dzień po wielkiej nocy i nazywają go: „Rachmański welykdeń”. Robotnika w tym dniu za żadne pieniądze dostać niepodobna, lękają się bowiem Rachmanina jakiegoś. Któż to był, gdzie jest, żaden z najstarszych wiekiem włościan powiedzieć nie umie. Świątły paroch w Chocimierzu, tyle tylko mógł nam wytłumaczyć, że na Wielkanoc, lud jedząc jaja, skrzętnie zbiera skorupy i wrzuca do wody mówiąc: „to dla Rachmanina”. Skorupy te płynąć muszą dwadzieścia*



Małgorzata Podlask (2)

dni (Dniestrem i Prutem?) nim je ta tajemnicza istota otrzyma, a wtedy właśnie i dzień jego święcą. Pamięć o tym Rachmanie, czy Rachmaninie żyje dotąd nie na jednym Pokuciu i u Huculów, ale i na Podolu i w innych częściach Rusi. U Huculów obrzędowość Rachmańska jeszcze wyraźniejsza.

Huculi przywożą pod kościół i święcą trzy paski (paschy): *jedne jedzą na Wielkanoc, drugą w przewodną niedzielę, trzecie zachowują na tak zwaną Wielkanoc Rachmańska**.* U Huculów święto to zwykle przypada we środę przed Zielonemi Świątkami. W dzień ten poszczą Huculi jak najostrzej i jedzą raz na dzień po zachodzie słońca. Post ten ma ochraniać ich bydło od ukąszenia gadziny.

Gdy pierwsza zaświta gwiazda, gospodyni kładzie na stole paskę i daje mężowi jedno jaje gotowane. Ten staje w pośrodku chaty i mówi: *„chodźcie dzieci, będziemy się dzisiaj wszyscy tym oto jajem dzielić”. Wówczas ktoś pyta: „A jak jednymś obdzielić się zdołamy?” - Na co ojciec uroczyście odpowiada: „A jeśli w tę noc mogło się 12 Rachmanów jednym podzielić jajem, to pewno i dla nas go wystarczy”. Poczem obiera skorupę i obdziela wszystkich jajem. Zbiera potem ze stołu skorupę, idzie ze wszystkimi nad brzeg rzeki i rzuca ją na wodę, mówiąc: „Jaje*

nie zajdzie do Rachmanina, ale skorupa zajdzie pewno". W końcu wracają wszyscy do chaty i spożywają paskę.

Zachodzi więc tu wielka różnica między Rusinami pokucikimi i Huculami. Pierwsi rzucają skorupę od jaja w sam dzień Wielkiejnocy, gdy Huculi w samo już święto Rachmanina. Ale u jednych i drugich jaje gra główną rolę.

Tak samo zachodzi różnica i co do daty święta Rachmańskiego. U Rusinów pokucikich przypada na 20 dzień po Wielkiejnocy, u Huculów we środę przed Zielonemi Świątkami. A więc to święto ruchome. Na Podolu znów inaczej. Kalendarze wileńskie z lat 1851-1858 zawierają w spisie jarmarków zmianę o Fulsztynie na Podolu następną: „2gi jarmark na Rachmański welykdeń 13 maja” i o Strzyżawce także na Podolu: „3ci jarmark na Rachmański W. deń”. Kalendarz r. 1859 mówi już tylko o Fulsztynie, a kalendarze z lat następnych obu tych miejscowości nie wspominają. Kalendarz berdyczowski z r. 1865 podaje ten sam jarmark w Fulsztynie już 17 maja. 17 maja w 1865 przypadał w poniedziałek po 6 niedzieli po W. Nocy. Zapewne jak wileńskie, tak i berdyczowski przedrukowują bez zmiany datę z lat poprzednich i błędą podając stałą datę.

W powiecie Wasylkowskim, na Ukrainie, łupiny z jaj, a kości z mięsiwa, rzucają do strumieni, tak samo jak i na Pokuciu w dzień Wielkiejnocy, utrzymując, że one popłyną do dalekiego miasta Rachmani a, i gdy tam dopłyną, wtedy dopiero w onem mieście nastąpi Wielkanoc.

Na Wołyniu, koło Cudhowa dzień ten i sama uroczystość nazywa się nie Rachmańskim, ale Nawskim. Nawskij - welykdeń przypada tam w poniedziałek po przewodniej niedzieli.

Antoni Nowosielski w swoim *Ludzie Ukraińskim* wspomina także o Rachmańskim dniu. W mowie sanskryckiej, pisze

Nowosielski, sylaba ray oznacza jaśnieć, być gorącym, palić. Jest to wersja sylaby Ar, znaczącej to samo i powtarzającej się w hebrajskich słowach or, ur, które znaczą światłość. Albo, pisze dalej, wyraz Rachman możeby prościej było wyprowadzić od słowa sanskryckiego Rahati, Rahaya-ti, opuszcza, zostawia.

Rachmanowie byliby więc to ludzie, jak sądzi Nowosielski, co opuścili świat żywych, co porzucili familije swoje, a przenieśli się do świata duchów: ci, co odeszli. Słowo Nawski, Nowosielski tłumaczy także z mowy sanskryckiej; sylaba Na oznacza tam oddychać, dąć, żyć: ztąd człowiek zwie się Nar, Na ras. Nawski zatem Welykdeń jest Wielkanocą duchów błogosławionych, mieszkających w raju.

W słowniku języka polskiego wyd. w Wilnie przez M. Orgelbranda (1861, str. 1335), znaczenie słowa Rachman tak określono: Rachman u pogańskich Słowian nazwa nieboszczyka w piekle. Rachmani, to tyle, co łacińskie manes. W Galicyi rzuca lud skorupki z pisanek w rzeki, wołając: „Płyńcie do kraju Rachm ariów, a i tam będzie święto”. Święto to u ludu nazywa się „Rachmańską(?) Wielkanocą”.

Udało mi się trafić na jeszcze jeden, krótszy opis huculskiego obyczaju. Pochodzi on z monumentalnej pracy Włodzimierza Szuchewicza, *Huculszczyzna*, wydanej w Krakowie, w latach 1902-1908, w pięciu tomach, staraniem i nakładem lwowskiego Muzeum imienia Dzieduszyckich.

Włodzimierz Szuchewicz (Wołodymyr Szuchewycz), lwowianin z urodzenia, był nauczycielem i etnografem, zainteresowanym przede wszystkim obyczajami i kulturą Huculów. Jego monumentalna praca szczegółowo opisująca życie mieszkańców połonin, zilustrowana została autorскими fotografiami. Także i ten opis cytuję zgodnie z pisownią oryginału.

W czwartą środę po Wielkanocy obchodzą Huculi rachmańskij welykdeń. Nie idą wprawdzie tego dnia do cerkwi, ale na znak święta wstrzymuj się w domu od wszelkiej pracy.

O Rachmanach powiadają Huculi, że „to są mnisi, prawdziwi Rusini (Rusnaky), tej samej wiary, co i my (Huculi). Żyją oni daleko na wschodzie w klasztorze, gdzie wiodą bogobojne życie; im zawdzięczamy, że żyjemy na świecie, bo oni pokutują za nasze grzechy, poszcząc ustawicznie; tylko raz w rok, na Wielkanoc, dzieli si ich dwunastu jednym jajem!”.

Gdy we środę przed Wielkanocą zabiera się gaździna do mieszenia ciasta na paskę, bije jedno jaje, smaruje niem paskę, a skorupę z niego wrzuca zaraz do potoka; skorupa ta dopłynie za cztery tygodnie do Rachmanów; jest ona dla nich znakiem, że nastał czas Wielkanocy; wtedy wolno im podzielić się jajem.

Anna Kokucieczka z Kosmacza zapewnia, „że Bóg tak robi, że ta skorupka zrobi się jajem, zanim dopłynie do Rachmanów. To nasi krewni; dlatego też starsi z nas poszczą w poniedziałki, środy i piątki aż do rachmańskiej wielkiejnocy; niktby z nas i mleka do ust przez te dni nie wziął!”.

Oprócz tych wierzeń podają Huculi, że skorupki, wrzucone na wodę, dopływają do Turcyi, gdzie dają znać ludziom, którzy tam zostali na robotach, o nastaniu Wielkanocy. Zdaje mi się, że to będzie właściwą przyczyną wrzucania skorup w rzekę a to tem pewniej, że i w powiecie Borszczowskim nad Seretem i w Zaleszczyckim nad Dniestrem wrzucają włościanie skorupy do rzek, sądząc, że wielu ich krewnych, żyjących u Turka w niewoli, nie wiedziałoby o czasie Wielkanocy, gdyby skorupy z jaj i pisanek nie dopływały do nich.

Zwazywszy, że arabskie słowo „rachman” oznacza miłosiernego, a pierwszy wiersz Koranu brzmi: „Bismillachi r-rackmani r-rachimi”, co znaczy: W imię Boga miłosiernego, miłościwego, - nie trudno się dopatrzeć bliskiego związku między tem wrzucaniem skorup w wody, płynące do Czarnego morza, a pragnieniem, ażeby w ten sposób zwiastować chrześcijanom, żyjącym w niewoli pod pogańskim Turkiem, o nastaniu Wielkanocy. ■



Wybrana literatura:

Adam Honory Kirkor, *Pokucie pod względem archeologicznym* badania, [w:] Drukarnia Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, 1876.

Włodzimierz Szuchewicz, *Huculszczyzna*, T. 3, staraniem i nakładem Muzeum imienia Dzieduszyckich we Lwowie, Kraków 1904.

Jacek Ukleja, www.metrocafe.pl (17 kwietnia 2014 r.).

Warsztaty pisankowe

Z Marią Kiraszczuk spotkaliśmy się w Kosmaczu ukraińskiej Huculszczyźnie. Cała wieś to pozostałość dawnego stylu życia związanego z pasterstwem. Domy położone są w sporym oddaleniu od siebie, często na wzgórzu.



Maria Kiraszczuk ze swoimi pisankami

Najpierw przekraczamy więc wartki strumień i pniemy się błotnistą drogą do góry. Podjechać nie ma jak. Mimo trudnych warunków i problemów z dojazdem wieś „żyje” i żywe są w niej dawne tradycje. Choć o prawdziwych mistrzów w swoim fachu jest bardzo trudno, to tu, w Kosmaczu w wielu domach pielęgnowane jest dawne rękodzieło. Ktoś zajmuje się ceramiką, ktoś inny wyszywa wzorzyste koszule. Pani Maria zajmuje się kolorowymi pisankami. W domu wita nas wesóły płomień palący się w wielkim, kaflowym piecu. Pomału robi się ciepło. W sieni stoi już przygotowany ciepły napar z ziół i tradycyjna dawka bimbru, na powitanie.

Choć panią Marię odwiedziliśmy w okresie wielkanocnym, praca nad pisankami to zajęcie całoroczne. Wzory - kolorowe lub monochromatyczne - zachwycają swoim bogactwem. Żaden z nich się nie powtarza. W zdobieniu pani Maria używa wzorów tradycyjnych, takich które robiło się w jej domu, które potrafiły wykonać jej koleżanki, ale także korzysta z tych udokumentowanych w albumach i na starych zdjęciach. Pani Maria lubi trochę się „pobawić i pokompinować” i wymyślać nowe wzory.

Swoje życie „na co dzień” w Kosmaczu pani Maria dzieli między domkiem na wzgórzu, do którego wiedzie błotnista ścieżka. To tu przygotowuje pisanki, ale także robi to co każda inna kobieta w okolicy. Zajmuje się gospodarstwem, gotuje obiady na wielkim, kaflowym piecu, dba o dom. Co pół roku wyjeżdża jednak do Berlina do pracy, to tam zarabia prawdziwe, pozwalające na życie, godne pieniądze.

Huculska pisanka to prawdziwe dzieło sztuki. Nic dziwnego, że jajka kupowane są przez prywatnych kolekcjonerów, przez turystów którzy wpadają w zachwyt misterną i delikatną robotą. Są także przechowywane „na wór”. Nawet jeżeli delikatna wydmuszka ulegnie uszkodzeniu, pisanka jest troskliwie sklejana. Nic dziwnego, każda z nich to godziny wyuczonych, sprawnych ruchów ręki, precyzja i prawdziwa wizja artystyczna. Huculskie pisanki to także wartość. Dzieła pani Marii kosztują nawet do 10 euro. To zawrotna cena w porównaniu z „fabrycznie” wykonywanymi pisankami, które trafiają do sklepów w cenie 20 hrywien.

Zawsze byłam ciekawa, jak powstają kolorowe pisanki z użyciem ciekłego wosku. Sprawa na początku wydaje się prosta, ale już po pierwszych próbach wykonania równej kreski na powierzchni wydmuszki okazuje się, że wcale taka nie jest. Ręka drży, kreska wychodzi nierówna, wosk kapie wszędzie dookoła. Z pięknej wizji bajecznego wzoru, którą miało się w głowie - przed oczami pozostaje „coś” mocno niedoskonałego. Pani Maria się śmieje: Przecież to nie jest takie trudne!

Tak, jasne. Patrząc na wyroby pani Marii widać, że jest mistrzynią w swoim fachu. Wzór jest równy, można by pomyśleć, że to maszynowa robota. A jednak nie.

Kiedy wydmuszka pokryta jest już woskiem według wzoru czas na kolory. Jajko trafia do słoika z rozpuszczonym barwnikiem. Następnie płukanie w czystej wodzie i suszenie w wysokiej temperaturze, tak aby rozpuścił się wosk i pozostał jaśniejszy, niewybarwiony wzór na powierzchni. Najlepszym do tego narzędziem jest suszarka. Jeżeli delikatna wydmuszka przetrwa w rękach nieudolnego uczestnika warsztatów, to jest już gotowa. Patrząc na arcydzieła spod ręki pani Marii nie ma się czym chwalić, ale będzie z pewnością miłą pamiątką po pobycie w Kosmaczu. ■



Mirosław Pokryka (5)



Andrzej Potocki

Dopowiadanie przyjaciela

Jak pisać o przyjacielu, z którym przez niemal 40 lat nie powiedzieliśmy sobie ani jednego złego słowa. Jak pisać o nim, kiedy od ponad sześciu lat nie zamieniliśmy ze sobą ani jednego słowa. Zdzisław Pękalski – artysta bieszczadzkiego renesansu. To on rozpoczynał tutaj sztukę przez duże „S”. Pierwszą rzeźbą Pękalskiego, którą zauważyłem, była postać samotnej kobiety, jakby na rozstaju życia. To wtedy zapytałem, kim jest jej autor. I tak zaczęła się nasza znajomość. Od jego kobiety, którą on miał, a ja chciałem pojąć. Ale zamiast niej dał mi diabła.



Zdzisław Pękalski i Andrzej Potocki w 2008 r.

Mój pierwszy tekst o Pękalskim ukazał się w rzeszowskim miesięczniku społeczno-kulturalnym „Profile” w 1978 r. Wtedy on, nauczyciel, ale już malarz, rzeźbiarz i poeta, marzył o utworzeniu w Hoczwi, gdzie mieszkał, Izby Regionalnej. Pisałem: *Jeździ po okolicznych wsiach, chodzi po chłopskich zagrodach i zbiera relikty przeszłości. Czasami i dzieci idące do szkoły oprócz tornistra niosą Pękalskiemu maślnice, kołowrotki, kijanki, smarownice do wozów. Ma w swoich zbiorach wiele eksponatów sztuki użytkowej wytwarzanej na tych terenach, ma ponad tysiąc dokumentów starodruków i rękopisów od początku XVIII wieku.*

Byłem wtedy dyrektorem Bieszczadzkiego Domu Kultury w Lesku. Z czasem udało mi się przejąć XIX-wieczną popówkę, którą niezbyt oficjalnie wydzierżawiłem. Po opuszczeniu jej przez przedszkole zrobiła się tam pijacka melina. Zrobiliśmy niezbędny remont trochę społecznie, resztę za pieniądze BDK-u i powstała Izba. Prywatna, Pękalskiego, bo ówczesna władza jej uparczywie nie zauważała. Zgromadził w niej kilkaset eksponatów, wiele bardzo cennych, co potwierdziło sanockie Muzeum Budownictwa Ludowego i w razie czego zgłosiło gotowość przejęcia ich.

Pękalski nie ustawał w gromadzeniu zbiorów. Pamiętam, jak we wrześniu 1979 r. pojechaliśmy do Żerdzki po jakieś zabytkowe łóżko. Zamieniliśmy je za takie zwykające, żelazne. W jednym z domów zastaliśmy ponad 90-letnią staruszkę leżącą w poślanu na piecu, jak dawniej bywało. Udało nam się zdobyć jeszcze wtedy stół skrzyniowy z XIX wieku. Smutny widok przedstawiała filia biblioteki publicznej, podobno już zlikwidowana. Wybite okno, porozrzucane książki. Wracając zakopaliśmy się w błotnistej mazi lokalnej drogi. Za „na pół litry” wozacy wyciągnęli stamtąd naszą nyskę.

Cały czas była jednak nadzieja, że władza samorządowa zaakceptuje to przedsięwzięcie. Nie zaakceptowała. Lata 80. ubiegłego wieku w gminie Lesko były epoką marazmu. W połowie popówki zakwaterowano dwie staruszki, którym spalił się dom. Zbiory zagęszczono w drugiej części, miało być na „tym czasem”, a było do śmierci obu babć.

W Hoczwi stała zabytkowa, XIX-wieczna, żydowska karczma. Kiedy zabrakło Żyda, zrobiono w niej geesowską knajpę i sklep. Nikt jej nie remontował, bo w taką starość nie warto było inwestować, więc

pewnego dnia zorientowano się, że grozi zawaleniem. Opuszczona, dewastowana, nikomu niepotrzebna. Pękalski odtworzył jej historię i pomiędzy ludźmi dowiedział się o tym ostatnim Żydzie Srułu Przemyślu. Próbował jej losom zainteresować lokalnych decydentów, konserwatora zabytków i wszędzie jak grochem o ścianę. Po cholerę mu były te starocie, i popówka, i karczma. Raz nawet wstrzymał budowę jakiejś hali, bo w wykopie pod fundamenty wypatrzył warstwy kulturowe. I co się okazało? Wczesnośredniowieczna słowiańska osada z pólziemiankami. A przecież mógł być większym spokojnym nauczycielem nie-stwarzającym problemów.

Duża sala modlitwenna leskiej synagogi z jej manierystyczną architekturą wnętrza była miejscem szczególnym. Jej cudowną akustykę wielokrotnie wykorzystywano dla



Madonna namalowana przez Z. Pękalskiego na nadpalonych gontach z cerkwi w Komańczy



Krzysztof Zieliński (3)

Prace Zdzisława Pękalskiego, od lewej: głowa *Wiedźmy*, cykl kapliczek wykonanych w pniach drzew i „nierukotworne”, pełne ukrytej ekspresji, *Ukrzyżowanie*

koncertów piosenki poetyckiej. Przestrzeń synagogi doraźnie wypełniano poplenerowymi wystawami malarstwa. Któregoś dnia zrodził się pomysł na utworzenie w niej stałej galerii sztuki dla rodzimych artystów, bieszczadzkich. Razem z Pękalskim wymyśliliśmy Bieszczadzką Grupę Twórców Kultury. Zdzicho został jej prezesem, a jednocześnie siłą napędową przedsięwzięcia.

Grupę tworzyli amatorzy artystycznych sztuk różnych, wśród których dominowali malarze i rzeźbiarze. Uczył ich podstaw malarstwa na trochę wyższym niż amatorskim poziomie, doradzał, z czego można zrobić

dłuta i jak je ostrzyć. Znał odpowiedzi na wszystkie warsztatowe pytania. Zaufali mu, może także dlatego, że jeden z jego uczniów był absolwentem liceum plastycznego im. A. Kenara w Zakopanem, drugi kończył studia w krakowskiej ASP, a inny, chociaż został listonoszem, znakomicie odnalazł się w rzeźbie figuralnej. W tamtym czasie, przełomu lat 70. i 80. XX wieku, ożywił artystycznie może nie całe Bieszczady, ale spory ich kawałek.

Stan wojenny sprowadził kulturę na manowce. Miernoty z politycznego nadania zajęły miejsce fachowców. Bieszczadzka Grupa Twórców Kultury zawiesiła swoją

działalność. Potem to już była zupełnie inna rzeczywistość, bez Zdzicha.

Tamten czas był jednocześnie dla niego przełomem. Malowanie na płótnie nie sprawiało mu już radości. Znudziła go martwa przestrzeń blejtramu i szukał innego podobrazia, bardziej dynamicznego, bardziej impulsywnego, takiego, z którym mógłby współpracować jak równy z równym. Między bajki trzeba włożyć, że nagle doznał artystycznego olśnienia. Wymyślił to swoje nowe malarstwo od początku do końca.

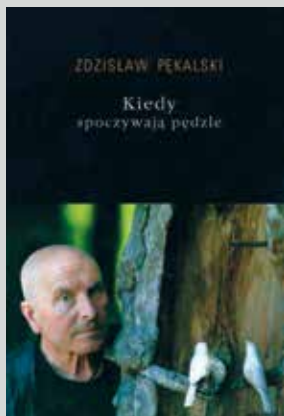
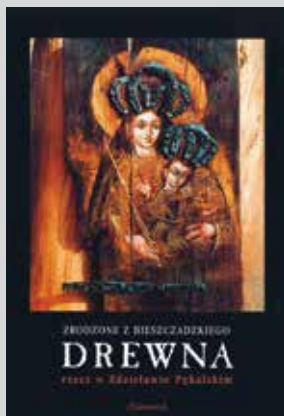
Ci święci, malowani na stajennych deskach i w świńskich korytach okazali się jego znakiem firmowym. To on pierwszy odważył się zderzyć sacrum z profanum. Do kościoła w Czystohorbie wymalował na starych deskach z podłogi z cerkwi w Wisłoku Wielkim ołtarz i drogę krzyżową. Deski były zdeptane butami, wyklęczane, ale też wymodlone przez tych, co leżeli na nich krzyżem. Stare, ponad dwustuletnie, temkowskie. I gwoździe Ukrzyżowany miał z tej podłogi, kowalskiej roboty. Arcybiskup przemyski ks. Józef Michalik konsekrował ten nowy kościółek z obrazami Pękalskiego. I podziękował mu.

W marcu 1998 r. byłem w pracowni Pękalskiego z Barbarą Penn, malarką, profesorką sztuki na Uniwersytecie w Arizonie w USA. Rozmawiali, co oczywiste, o malarstwie. Barbara była zachwycona twórczością Pękalskiego, ale przede wszystkim tym zderzeniem prochu ziemi ze świętością. Film o tym spotkaniu zatytułowałem „Dwa odmienne światy”. Odmienne kulturowo, ale tu w pracowni Zdzicha w Hoczwi były artystycznie tożsame. Nie wiem, jak potoczyły się potem losy ich znajomości, ale oba opisane przypadki upewniły Pękalskiego, że artystycznie zmierza w dobrym kierunku.

Fragment recenzji A. Potockiego tomiku poezji Z. Pękalskiego *Kiedy spoczywają pędzle*, który ukazał się w 2012 r. w Wydawnictwie Carpathia:

(...) Pękalski rzeźbił, malował i wciąż czuł niedosyt w swoim artystycznym jestestwie. (...) I pewnego dnia zrozumiał, że musi wrócić do początku. A na początku było słowo. Ze słów postanowił zbudować swój autoportret. Niepotrzebne było mu lustro, wystarczyło oczami wyobraźni zajrzeć

w głąb swojej duszy niepokornej artystycznie. Słowa jakby same z siebie układały się w strofy, strofy w wiersze. Z taką samą lekkością jak jego pociągnięcia pędzlem. Pisał dla siebie, jakby szukając uzasadnienia dla swojego profanum w sacrum. Jego anioły wbrew wszelkim doktrynom przyjaźnią się z diabłami. W rzeczy samej opowiadał wierszami swoją filozofię bytu artystycznego. Jakże inaczej można by nazwać nienazwane, gdyby nie było słów.



Kolejni święci objawiali się w zaskakującym dla nich samym sztafażu, pomiędzy światem ziemskim i aureolą nieba na tartacznych oszwarach, a zdarzało się, że i na kociubie. Ale co tam święci, jak sama Pannienka z Dzieciątkiem pojawiała się w nieckach, w koronie z końskich podków albo na drzwiach od chlewika. Chrystus odprawiał Ostatnią Wieczerzę na stolnicy, a w Mandylionie pojawiał się na denku od beczki.

Już wyjaśniam: kociubą wkładało się ciasto na chleb do pieca, w nieckach zagniatało się ciasto, podobnie jak i na stolnicy, denkiem przyciskało się kapustę zakiszoną w beczce. Bez końskich podków nie byłoby ciasta na chleb ani kapusty, tylko dla tych drzwi od chlewika najtrudniej było znaleźć wytłumaczenie.

Współcześnie wielu podkarpackich artystów „maluje Pękalskim”. Na starych i sztucznie postarzanych deskach, na byle czym, naśladując czasami zbyt dosłownie artefakty. Malarstwo Zdzicha nie było ładne, było przede wszystkim refleksyjne. Zderzenie żywej idei i martwej materii było istotą jego artystyczno-filozoficznego przesłania.

13 września 2006 r. spłonęła zabytkowa cerkiew prawosławna w Komańczy. Kilka dni później pojechał Pękalski obejrzeć to pogorzelisko. Zwęglone belki ścian zdawały się być resztkami ofiarnego stosu, na którym spłonęli Pantokrator i Preczystaja Diwa i wszyscy święci, i prorocy, i nawet Duch Święty. *Hospody pomiluj...* Jakże nietrwiałym okazało się dzieło ludzkich rąk w zderzeniu z żywiołem. Nie! Preczystaja Diwa na pewno nie spłonęła, bo Ją kilka lat wcześniej ukradli. Wokół pogorzeliska jak drzazgi smolne rozrzucone zostały nad-



Okładki książek ilustrowanych przez Zdzisława Pękalskiego

palone gonty. Podniósł ich kilka i zobaczył w nich twarz skradzionej Bogarodzicy. Zebrał ich więcej, całe naręcze i stał się cud. Na tych nadpalonych gontach malował Preczystyje Diwy, Pantokratory i świętych, świętych, świętych... Jak rozniosło się po Bieszczadzie, że Pękalski maluje na spalonych resztkach z cerkwi z Komańczy, zaczęli mu zwozić dobrzy ludzie te resztki z pogorzeliska. Miał tego na podwórzu tyle, jakby spłonął jego dom. Ja zawiozłem mu kawałek nadpalonej deski, jaki zachowałem ze spalonego domu mojego pradziadka. Była to prawie relikwia rodzinna. I namalował na niej boskie oblicze. To nadpalone malarstwo zajęło mu kilka lat.

W piwnicy swojego domu w Hoczwi urządził „Galerię Pękalskiego”. Na ścianach pojawiły się jego najlepsze prace, te, których nie dało się u niego wyprosić za żadne skarby. Chętnym mówił - namaluję taką samą, ale zawsze wychodziły mu tylko podobne. Bo deska była inaczej wy-

szczerbiona, bo niecka miała mało wyraziste słoje, drzwiczki z chlewika nadgryzione nie w tym samym miejscu, albo gonty były nie tak samo nadpalone. Taki sam był tylko klimat jego obrazów, w którym zderzał swój mistrzowski artyzm z materią drewna.

W galerii urządził spotkania autorskie. Opowiadał o swoim malowaniu-powołaniu. Mówił plastycznie z odpowiednią intonacją, tworząc niepowtarzalny klimat. Opowiadał słuchaczom o sobie wierszami, bo przecież był po trosze i poetą.

To najgorsze, niespodziewane, nieoczekiwane przyszło 3 kwietnia 2014 r. W jednej chwili w jego doczesnej powłoce zgasły myśli i ręka nie potrafiła już utrzymać pędzla, i usta nie potrafiły wypowiedzieć żadnego słowa. Przecież nie dokończył jeszcze malować wszystkich świętych i nie zapisał wszystkich myśli. Nieobecny, oczami uśmiecha się na mój widok. Wita się tą lewą niemalującą ręką. Patrzę na Niego przez lzy... ■



Dwie figurki drewniane oraz płaskorzeźba autorstwa Zdzisława Pękalskiego. Od lewej: *Diabeł*, *Anioł*, *Chrystus Frasobliwy*.

Reinfuss - etnograf pasterzy, muzealnik i fotograf Karpat

Łemkowszczyzna. Potoczna nazwa obszaru zamieszkiwanego przez grupę etniczną Łemków. Zamieszkiwali tereny obecnych województw małopolskiego, podkarpackiego, a także tereny obecnej Słowacji – Preszowszczyzna oraz Ukrainy – Obwód Zakarpacki. To jednocześnie zagadnienie i terytorium badawcze Romana Reinfussa, jednego z najbardziej znanych etnografów i obserwatorów świata karpackiego. Właśnie w tym roku mija 110. rocznica jego urodzin.



Roman Reinfuss, fot. z lat 30. XX w.

Roman Reinfuss przyszedł na świat 27 maja 1910 r. w Przeworsku, jednak młodość spędził w Gorlicach i Tarnowie. W 1931 r. ledwie przystąpił do matury w Krakowie, ponieważ w szkole średniej dołączył do Związku Młodzieży Socjalistycznej, co było jednym z powodów późniejszego aresztowania i wyrzucenia ze szkoły. W Krakowie rozpoczął też studia prawnicze w Uniwersytecie Jagiellońskim, które ukończył magisterium w 1935 r. Nie miał zamiaru kontynuować kariery prawniczej. Już wówczas był zaintrygowany kulturą Łemków, którą zgłębiał podejmując wę-

drówki po Beskidzie Niskim, samodzielnie lub w towarzystwie znajomych. Pieszo lub rowerem, z blisko 20-kilogramowym sprzętem fotograficznym, notatnikiem i kuchenką spirytusową na plecach. Przez lokalnych mieszkańców przyjmowany był z pobłażaniem, ale i uśmiechem. Podczas jednej z takich wycieczek, jak sam je określał, zanotował: *W pierwszej napotkanej chałupie przyjęto nas bardzo gościnnie, a gdy przy kolacji poczęstowałem gazdów naszymi zapasami, tak ich tym ująłem, że na noc koniecznie chcieli mnie ulokować na piecu obok sędziwego patriarchy rodu, który tam legował z serią umorusanych wnucząt.*

Zapewne też postrzegany był przez odwiedzanych przez siebie ludzi z pewną dozą nieufności. Sądzić należy również, że uznawany był za dziwaka z miasta, którego to nagle interesowały ponad miarę sprawy wiejskie. Kiedyś po noclegu u gazdów w Uhryniu zanotował: *Rozpaliła w piecu i teraz dopiero w blasku ognia zauważyłem czarne oko okopconego kotła, który zwiisał na żelaznym haku nad paleniskiem. Dym pozbawiony ujęcia zaczął się snuć po izbie, mamy lzy w oczach i zaczynamy kaszleć, gazda popatruje się na nas z pewnym politowaniem, jemu nie zaszkodzi.*

Tuż po studiach prawniczych ukazał się jego pierwszy artykuł o pasterstwie łemkowskim w *Ilustrowanym Kurjerze Codziennym*, natomiast jeszcze podczas studiów nawiązał kontakt z Muzeum Etnograficznym w Krakowie i ówczesnym dyrektorem oraz twórcą tej placówki, Sewerynem Udzielą, która dla Reinfussa zakończyła się objęciem tam asystentury w 1936 r. Rychło też podjął studia etnograficzne pod kierunkiem wybitnego etnologa i socjologa, Kazimierza Dobrowolskiego. Podczas trudnych lat wojny został zatrudniony w muzeum w charakterze dozorca, co zresztą pozwoliło mu na studiowanie zgromadzonych tam archiwaliów i literatury. W tym okresie też organizował nielegalne seminaria etnograficzne. Po wojnie objął stanowisko kustosa, a następnie zastępcy dyrektora Tadeusza Seweryna. W 1945 r. ukończył studia etnograficzne, a w rok później obronił doktorat na podstawie rozprawy pt. „Łemkowie jako grupa etnograficzna”. Wtedy też organizował studia etnograficzne w reaktywowanym Uniwersytecie Wrocławskim.

Badacz i muzealnik na 100%

W swej codziennej pracy świetnie łączył dwie funkcje - zastępcy dyrektora muzeum, a także badacza i dokumentalisty



arch. Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku (7)



terenowego. W swych badaniach starał się koncentrować na dwóch głównych zagadnieniach. Po pierwsze na kulturze ludowej mieszkańców Karpat – nie tylko Łemkowszczyźnie, która była jego pierwotną domeną naukową. Po drugie na sztuce ludowej obejmującej cały obszar Polski. Starał się również nakreślać zasięg badanych przez siebie kultur pasterkich Karpat i posługiwał się tutaj obserwacją napotkanej na szlaku tradycji architektury, zaobserwowanych strojów, jak też będącego w użytku nazewnictwa, które zdążył zasłyszeć i codziennych zwyczajów. Był zapalonym fotografem i tę dziedzinę dokumentacji wprowadził już w okresie międzywojennym i właściwie kontynuował przez cały czas swej pracy. Przedwojenny zbiór 200 przeszło zdjęć autorstwa Romana Reinfussa stał się doskonałym materiałem do wydanej w 2015 r. publikacji *Karpacki świat Bojków i Łemków*.

Ta dokumentacja fotograficzna jest dziś niezwykle cennym i nietuzinkowym zapisem życia codziennego górali karpackich. Reinfuss skupiał uwagę na głównym zajęciu Bojków i Łemków, jakim było pasterstwo. Jednakże fotografował ich codzienny i odświętny ubiór, pracę przy gospodarstwie domowym, czy też rytuały jakimi, oddawali się przy okazji świąt religijnych. To nie wszystko. Na swych celuloidowych i szklanych kliszach Reinfuss pokazywał piękno regionu od Beskidu Sądeckiego, aż po Huculszczyznę. Na jego kadrach znajdziemy pasma i szczyty górskie, ale też klasztory, kapliczki i figurki przydrożnych świętych, cmentarze, chałupy, zagrody, spichlerze i szalasy wykorzystywane przez lokalnych pasterzy. Ukazał ginące już wtedy zawody, jak druciarzy obwoźnych reperujący gliniane naczynia, czy absolutnie już dziś funkcjonujący w toponimach czy nazwiskach, zawodowych maziarzy, a więc fachowców wyrabiających dziegieć, substancję o bardzo szerokim zastosowaniu. Reinfuss udokumentował również świat ludzi, który dziś już zupełnie nie istnieje – romskie tabory, żydowskie karczmy, czy nawet czarownicę, która jeszcze w 20. leciu międzywojennym mieszkała w Dukli.

Od 1946 r. Reinfuss zakłada i kieruje sekcją zdobnictwa w Państwowym Instytucie Badania Sztuki Ludowej, przekształconej później w Państwowy Instytut Sztuki. Pod koniec lat 90. XX w. Muzeum Etnograficzne w Krakowie przejęło zbiory tam zdeponowane przez Reinfussa i zespołu, którym kierował. Na tamtejszą dokumentację składał się wieloletni efekt badań terenowych życia mieszkańców wsi. Były to wówczas 823 teki z rysunkami, opisami, zapisami rozmów, a także 70 000 fotografii oraz 2000 próbek tkanin. Nadmienić należy, iż MEK jest też w posiadaniu, w charakterze uzupełnienia tego zbioru, domowego archiwum Reinfussa, które składało się z dokumentacji jego pracy naukowej, z tekstów, a nawet rysunków satyrycznych stworzonych dla przyjaciół i rodziny. Bardzo dbał o dynamikę rozwoju technologicznego MEK, jak i też styl prowadzenia badań. Etnograf i badacz górali karpackich już w okresie powojennym wykorzystywał kamerę 16 mm.

Reinfuss pisał: *Naukowy film etnograficzny mimo swego dokumentarnego charakteru nie musi być nudny i niestrawny [...] Wprost przeciwnie. W ręku utalentowanego reżysera spoczywają nieograniczone wprost zasoby środków technicznych [...], które pozwalają etnograficznie wierny materiał podać widzowi w sposób interesujący.*

To Reinfuss jako pierwszy zrealizował cykl filmowy pod hasłem „Zwyczaj wielkanocny”. Do dziś ponadto w MEK można obejrzeć jego część filmową zatytułowaną „Pucheroki”.

Popularyzator, znawca i autorytet

Roman Reinfuss należał do tego pokolenia etnografów, którzy nie dość, że świetnie spełniali się na naukowym polu twórczym, ale też i w popularyzacji. Już od 1933 r. był członkiem Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, którego tuż przed śmiercią został honorowym członkiem. Był również związany z jednym z najstarszych oddziałów Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego w Krakowie, który zakładał jego mentor na-

ukowy Seweryn Udziela. W latach 70. i 80. XX w. był członkiem kolegium redakcyjnego rocznika poświęconego tematyce gór pt. „Wierchy”, na łamach którego Reinfuss publikował jeszcze przed wojną. Pełnił funkcję przewodniczącego Rady Muzealnej w czasie budowy pierwszego po wojnie i największego pod względem liczby zgromadzonych obiektów muzeum w Polsce - Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku. Zasiadał również w Komitecie redakcyjnym i publikował w piśmie „Materiały Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku”.

Roman Reinfuss był jednym z największych etnografów swojego pokolenia, niekwestionowanym znawcą tematyki góralszczyzny karpackiej, zwyczajów ludowych nie tylko tego regionu, ale całej Polski. W jego domenie naukowej znajdowały się takie choćby zagadnienia jak karpacki strój ludowy, ze szczególnym uwzględnieniem zagadnienia tkanin i wzorów, poza tym hafciarstwo, farbiarstwo, kowalstwo, meblarstwo i garncarstwo. Ponadto samo zagadnienie pasterstwa regionu karpackiego, z uwzględnieniem materialnej kultury, jak i jej duchowej odmiany, wpływów kulturowych mających proveniencję obcą.

Spod jego pióra wyszło ponad 300 różnych publikacji, począwszy od artykułów w prasie lokalnej i krajowej, literaturze branżowej, naukowej i popularyzatorskiej. Był także stałym publicystą w najważniejszym piśmie etnograficznym w Polsce „Polska Sztuka Ludowa”. Był autorem publikacji zwartych o charakterze monograficznym, sprawozdawczym i podręcznikowym o niezwykle rozbudowanym spektrum tematycznym. Roman Reinfuss zmarł 26 września 1998 r. w miejscowości Krzywaczka, w powiecie myślenickim, gdzie spędził ostatnie kilkanaście lat swego życia. Spoczął wraz z żoną w grobowcu na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie. W 100. rocznicę jego urodzin w Skansenie Wsi Pogórzeńskiej w Szymbarku odsłonięto pomnik-ławeczkę dedykowaną etnografowi. ■



Karpackie biegacze

Rodzina biegaczowatych (Carabidae) reprezentowana jest w Polsce przez ponad 500 gatunków, wśród których około 30 to chrząszcze zaliczane do rodzaju biegacz (Carabus). Nazwa rodziny związana jest ze sposobem poruszania się tych owadów, które w zdecydowanej większości utraciły zdolność lotu, ale bardzo sprawnie i szybko poruszają się po powierzchni gruntu za pomocą długich, bieźnych nóg. Większość biegaczowatych żyje na powierzchni gleby, ale niektóre gatunki potrafią wspinać się na rośliny zielne, a nawet na krzewy i drzewa.

Zdecydowana większość krajowych przedstawicieli rodziny biegaczowatych to drapieżniki, które zarówno w stadium larw, jak i postaci dorosłych polują na różne bezkręgowce. Chrząszcze te odznaczają się specyficznym sposobem postępowania z upolowanymi ofiarami, które po uśmierceniu oblewają sokami trawiennymi i dopiero tak „nadtrawiony” pokarm pożerają. Zaniepokojone biegacze bronią się wydzielając z tylnej części odwłoka nieprzyjemnie pachnącą substancję, w skład której wchodzi między innymi kwas masłowy. W związku z drapieżnym trybem życia biegaczowate stanowią bardzo istotny element oporu środowiska, ponieważ bardzo skutecznie ograniczają liczebność wielu groźnych szkodników rolniczych, ogrodniczych i leśnych.

Wśród chrząszczy z rodzaju biegacz występujących w Karpatach warto zwrócić uwagę na kilka charakterystycznych i ciekawie ubarwionych gatunków, które można zaobserwować podczas spacerów w lasach lub wędrówek góorskimi szlakami.

Biegacz zielonozłoty

(*Carabus auronitens*) jest dość dużym chrząszczem, o długości ciała dochodzącej do 3 cm. Zaliczany jest do gatunków europejskim, a występuje na terenach górskich i podgórskich, od Pirenejów po Karpaty. W Polsce spotykany jest przede wszystkim w górach i na pogórzach w południowej części kraju, ale znany jest rów-



Biegacz zielonozłoty

nież z rozproszonych stanowisk zlokalizowanych na niżu. Zamieszkuje lasy różnych typów, a najlepsze warunki do rozwoju znajduje w drzewostanach zasobnych w martwe drewno, w którym postacie dorosłe szukają schronienia na okres zimy. Uznawany jest za jednego z najpiękniej ubarwionych krajowych przedstawicieli rodzaju. Wierzchnia strona ciała tego biegacza ma najczęściej barwę zielonozłocistą lub niebieskozłocistą z czarnymi żeberkami i szwem pokryw. Postacie dorosłe aktywne są głównie nocą, ale niekiedy, zwłaszcza przy pochmurnej pogodzie, można je spotkać w ciągu dnia. Pokarm larw i postaci dorosłych stanowią przede wszystkim dżdżownice i różne bezkręgowce.

Biegacz karpacki

(*Carabus obsoletus*) jest endemitem karpackim, znanym z terenów górskich i podgórskich Rumunii, Słowacji, Czech i Polski. Na „Czerwonej liście zwierząt ginących i zagrożonych w Polsce” wpisany jest z kategorią LC (najmniejszej troski). Długość ciała postaci dorosłych przekracza 2,5 cm, a ich ubarwienie jest bardzo zmienne – od niemal czarnego przez miedzianobrazowe, ciemnoniebieskie, ciemnozielone po jasnozielone ze złotawym połyskiem. Wymagania ekologiczne biegacza karpackiego poznane są słabo, obserwowany był zarówno w dolinach górskich, jak i na wysokościach przekraczających 1300 m n.p.m. W ciągu dnia chrząszcze najczęściej przebywają w ukryciu, na



Biegacz karpacki



Biegacz karpacki



Okolice Paławia na Pogórzu Przemyskim, miejsce występowania biegacza karpackiego i biegacza zielonożółtego



Rezerwat Kozigarb, jedno z miejsc występowania biegacza pomarszczonego

żer wychodząc nocą, a ich pokarm stanowią różne bezkręgowce. Wczesnym latem, na szlakach prowadzących przez bieszczadzkie poloniny, można tego biegacza spotkać również w ciągu dnia. W większości przypadków chrząszcze widywane są w tych miejscach, gdzie szlaki zagłębione są poniżej powierzchni otaczającego terenu, przyjmując formę głębokich rynien. Utrudnia to biegaczom wydostanie się na zewnątrz i często prowadzi do śmierci w efekcie rozdeptania przez nieuważnych turystów.

Biegacz dołkowany

(*Carabus irregularis*) jest rzadko spotykanym przedstawicielem biegaczowatych, znanym z gór i pogórzy Europy Środkowej. W Polsce występuje wyłącznie na południu kraju, od Sudetów przez Tatry, Pieniny i Beskidy, po Bieszczady. Wpisany został na „Czerwonej liście zwierząt ginących i zagrożonych w Polsce” z kategorią NT (bliski zagrożenia). Postacie dorosłe dorastają do 2,5 cm długości. Wierzchnia strona ciała ma barwę miedzianobrazową, a boki pokryw i przedplecza zabarwione są miedzianoczerwono



Biegacz dołkowany

lub miedzianozielono. Na pokrywach występują rzędy dużych i głębokich dołków o złotawym połysku. Zamieszkuje lasy różnych typów, gdzie poluje na ślimaki i różne gatunki bezkręgowców. Postacie dorosłe są bardzo rzadko spotykane, a najłatwiej można je odnaleźć podczas zimowania w kryjówkach wykonanych w zmrzałym drewnie.

Biegacz pomarszczony

(*Carabus intricatus*) dorasta do 4 cm długości i jest największym spośród omawianych tutaj gatunków. Jest chrząszczem europejskim, w Polsce znanym z wielu lokalizacji,

jednak najczęściej spotykanym na południu kraju. Na „Czerwonej liście zwierząt ginących i zagrożonych w Polsce” wpisany jest z kategorią LC (najmniejszej troski). Ciało ma najczęściej barwę ciemnoniebieską z metalicznym połyskiem i rozjaśnionymi brzegami pokryw i przedplecza. Zdecydowanie rzadziej spotykane są osobniki o zabarwieniu ciemnoturkusowym. Występuje w wilgotnych lasach różnych typów, a w Karpatach preferuje drzewostany mieszane i liściaste, zwłaszcza bukowe. Podobnie jak opisane wyżej gatunki, również biegacz pomarszczony najlepsze warunki do rozwoju znajduje w drzewostanach zasobnych w martwe drewno, w którym zimują postacie dorosłe. Podobne są również jego preferencje pokarmowe - larwy i postacie dorosłe polują na ślimaki, dżdżownice i drobne bezkręgowce.

Wszystkie omówione gatunki biegaczy objęte są w Polsce ochroną prawną. Spacerując po karpackich szlakach należy zwracać uwagę na organizmy poruszające się po powierzchni gruntu, aby uniknąć przypadkowego rozdeptania tych rzadkich i pożytecznych owadów. ■



Biegacz pomarszczony



dr inż. Tomasz Olbrycht – entomolog, adiunkt w Zakładzie Agroekologii Kolegium Nauk Przyrodniczych Uniwersytetu Rzeszowskiego. Specjalista z zakresu ochrony roślin oraz ekologii chrząszczy saproksylicznych (związanych z martwym drewnem). Autor kilkudziesięciu publikacji naukowych z zakresu entomologii i architektury krajobrazu.

Bibliografia:

Burakowski B., Mroczkowski M., Stefańska J. 1973. *Katalog Fauny Polski. Chrząszcze, Coleoptera. Biegaczowate – Carabidae*. Część 1. XXIII, 2, PWN. Warszawa. 1973.
Olbrycht T. 2005. *Występowanie chrząszczy z rodzaju Carabus (Col., Carabidae) na terenie Podkarpacia*. Zeszyty Naukowe Południowo-Wschodniego Oddziału Polskiego Towarzystwa Inżynierii Ekologicznej z siedzibą w Rzeszowie i Polskiego

Towarzystwa Gleboznawczego Oddział w Rzeszowie, 6: 71-76.
Pawłowski J., Kubisz D., Mazur M. 2002. *Coleoptera – Chrząszcze*. [w:] Głowaciński Z. (red). *Czerwona lista zwierząt ginących i zagrożonych w Polsce*. Instytut Ochrony przyrody PAN, Kraków: 88-110.
Watała C. 1995. *Przegląd Carabidae Polski. Część I. Wstęp oraz plemię Carabini. (Review of Carabidae of Poland. Part I. Introduction and the tribe Carabini.)*. Acta Univ. Lodensis. Folia Zool. Łódź. 3.

Żydzi w Bieszczadach

Ziemia sanocka w czasach I Rzeczypospolitej była częścią województwa ruskiego. Obejmowała dzisiejsze powiaty: sanocki, leski, bieszczadzki i brzozowski oraz część powiatów: rzeszowskiego, krośnieńskiego i leżącego w granicach Ukrainy turczańskiego. Najwcześniej na terenie Ziemi Sanockiej nazwiska żydowskie pojawiają się w Sanoku, bo już w 1514 r. w wykazie rzemieślników, ale rejestry podatkowe z 1567 r. wymieniają tutaj tylko jedną rodzinę żydowską.

W spisie mieszkańców Leska z 1478 r. nie odnotowano imion żydowskich. Pierwsza rodzina izraelicka odnotowana jest w 1542 r. Pierwszym znanym z imienia Żydem leskim był Matysz, wzmiankowany w 1547 r. Najstarszy nagrobek na leskim cmentarzu żydowskim postawiono na grobie Eliezera Ben Meszulema zmarłego 11 września 1548 r. Cmentarz żydowski mógł zaistnieć tylko wtedy, gdy była zorganizowana samodzielna gmina żydowska. W innym przypadku, lescy Żydzi powinni być grzebani na cmentarzu w Przemyśle. Stąd wniosek, że najstarsza gmina żydowska w Ziemi Sanockiej powstała przed 1548 rokiem.

W spisie mieszczan z 1580 r. odnotowano 23 Izraelitów – głów rodzin, rabina, szkołę żydowską i dom ubogich. Jednocześnie wymieniono miasta, z których tutaj przybyli: Kraków, Halicz, Belz, Rymanów, Pilzno, Birczę, Dynów, Gogieczyn, Komarno i z Moraw. W Lesku, jedynym mieście ziem sanockiej i przemyskiej, Żydzi byli przyjmowani do prawa miejskiego na równi z chrześcijanami. W latach 1562-1570 do prawa miejskiego przyjęto 13 Żydów. Józef Łazurowicz z Leska był w 1653 r. starszym Żydów w całej ziemi sanockiej. W tym czasie kahałowi leskiemu podlegały gminy izraelickie w Sanoku i Baligródzie.



Biblia hebrajska czyli chrześcijański Stary Testament wydana w 1910 r. pochodząca z Leska

Aktywni gospodarzo od początku

Żydzi od początku swojego pobytu w Bieszczadach byli bardzo aktywni gospodarzo. Już w XVII w. zajmowali się dzierżawami m.in. czopkowego, handlem skórą, śledziami, zbożem, sukniem, winem, wołami, baranami i ołowiem. W roku 1651 Aron arendował w Hoczwi folwark od Stanisława Błotnickiego. Z arendy wypędził go Zofia Belzecka, która rościła sobie prawo do tego folwarku, jednak

przegrała proces z Błotnickim. Nie wiemy, czy Aron wrócił na arendę. Wieś Radoszyce w 1757 r. dzierżawili Moszko Herszkowicz oraz Icek i Mosiek Eliaszwicze. Wśród Żydów byli także rzemieślnicy: rzeźnicy, złotnicy, browarnicy i krawcy. Udzielali pożyczek na procent (wówczas 42-44 procent w skali roku), arendowali gospody, szynki, a także zajmowali się obnośną kramarszczyzną, wędrując nawet po odległych bieszczadzkich wsiach. W 1611 r. odnotowano rabunek w Woli Michowej na dwóch leskich Żydach.

Żydzi bieszczadzcy odbywali długie podróże kupieckie, m.in.: do Krakowa 1593 r., Lwowa 1654 r. i Zamościa 1608 r. W krakowskich rejestrach celnych 12 maja 1593 r. odnotowano przejazd tranzytowy dwóch Żydów leskich. Icyk wioził towar do Leska na 4 wozach, zaprzężonych w 12 koni, a Samuel wioził towar w 10 koni. Żydzi kupowali w Bieszczadach woły, które później sprzedawali w Krakowie, Lwowie (1549-1550 r.), a nawet Poznaniu (1654 r.). W 1717 r. Sulim Józefowicz z Leska został oskarżony o sprzedaż w Sanoku trzech beczek „oszukanego” miodu przaśnego. W mieście począwszy od XVII w. były składy win węgierskich. Przez kilka stuleci handlowali nim także miejscowi Żydzi. W 1792 r. Abraham Manaheim i Szmul



Graficzne przedstawienie najstarszej matcewy z 1548 r. odnalezionej na kirkucie w Lesku



Stan zachowania cmentarza żydowskiego w Lesku na zdjęciu z roku 1950



Szymon Modrzejewski (2)

Cmentarz żydowski w Baligródzie usytuowany jest w pobliżu rynku tego dawnego miasteczka. Obecnie zajmuje ok. 1 ha powierzchni niewielkiego wzniesienia, przetrwało na ponad 200 kamiennych nagrobkach, z których najstarsze datowane są na lata 30. XVIII wieku.

Do 2006 r. był to zakrzaczony i porośnięty chwastami obszar. W tym roku z inicjatywy Stowarzyszenia Magurycz oraz wolontariuszy rozpoczęto pierwsze prace porządkowe. W kolejnych latach wyremontowano 161, a odslonięto łącznie ok. 260 macew, w tym zniszczone i we fragmentach. Wśród nich odnaleziono doskonale zachowane wapienne macewy z lat 30. XVIII wieku. Najstarszy obecnie zidentyfikowany nagrobek pochodzi z 1731 r. i stoi na grobie Aharona, syna Israela. Na nekropolii możemy zobaczyć - jeden z nielicznych w całych Bieszczadach - nagrobek tumbowy. Dzięki znajdującej się na nim wypukłej inskrypcji wiemy, że pochowano pod nim Cwi Hirsza syn Mosze. Tumba jest poziomym nagrobkiem (w przeciwieństwie do pionowych macew), który wykształcił się wśród Żydów sefardyjskich (pochodzących z Portugalii i Hiszpanii). Podczas II wojny światowej Niemcy wywieźli dużą liczbę macew z cmentarza i wybrukowali nimi baligródzki rynek. Znajdują się tam do dzisiaj, pod warstwą asfaltu.

Behr z Leska w okolicznych wsiach kupowali zboże, sprzedając je potem w Sanoku. W 1810 r. skład wina trzymał m.in. Jankl, u którego m.in. zarządca majątku Wzdów kupił jedną beczkę i dwa antaki wina. Wiosną 1836 r. leski Żyd Meyer popędził 118 wołów na targ w Ołomuńcu na Morawach.

W czasie pomoru (być może epidemii czarnej ospy) w 1705 r. zmarło w Lesku 303 Żydów, ale w pół wieku później i tak stanowili już większość mieszkańców miasteczka. Według spisu z 1764 r. w kahałe leskim mieszkało 1656 Żydów i była to najliczniejsza gmina w Ziemi Sanockiej. W jej skład wchodził także Izraelcy mieszkający w miastach: Lutowska, Mrzyglód, Tyrawa Wołoska i Wola Michowa. W 1777 r. kahał leski płacił 1656 złp. podatku tolerancyjnego, gdy np. rzeszowski 1202 złp. W ciągu dwudziestolecia 1764-1784 liczba Żydów

w Lesku wzrosła o 320 osób, co wskazuje na ich bardzo dynamiczny rozwój demograficzny. Od 1765 r. mogli nabywać ziemię na własność, m.in. w Lesku i sąsiedniej Turce.

W roku 1785 tylko w 30 na 136 wsi bieszczadzkich nie odnotowano obecności Izraelitów. W około 50 wsiach mieszkało po jednej ich rodzinie. Największe skupiska były w Lesku 1061 osób, w Ustrzykach Dolnych 190, Baligródzie 148, Lutowskich 86, Woli Michowej 59, Polanie 45, Teleśnicy Oszwarowej 32 i po 30 w Berezce, Czarnej, Łobozewie i Zatwarnicy.

W czasie spisu w 1767 r. w Ustrzykach Dolnych odnotowano 162 Żydów, w tym gospodarzy i ich żon było 56. Mieli oni ogółem 34 synów i 42 córki. Komorników wraz z synami było 12 i tyleż ich dzieci: pięciu synów i siedem córek. Odnotowano także rabina, jego żonę, trzech synów i jedną

córkę. Daje to pogląd na status społeczny członków gminy i sytuację demograficzną. W 1824 r. wielu leskich Izraelitów znacznie zubożało. Pożar, jaki wybuchł w mieście w nocy z 25 na 26 lipca, strawił ponad 150 domów, w większości żydowskich. W płomieniach zginęło ponad 50 Żydów.

Odcinanie własnych korzeni

Duży napływ Izraelitów powodował zawieranie małżeństw mieszanych, polsko-żydowskich. Około roku 1705 szlachcic Szymon Kromczyński ożenił się z Żydówką Ickiewiczówną z Leska, która przeszła na katolicyzm i na chrzcie otrzymała imię Barbara. Przechrzczeni Żydzi byli przyjmowani do polskich nazwisk i herbów. Uzyskiwali także dostęp do państwowych urzędów i godności. W 1788 r. podczaszym sanocim był Józef Kwieciński, który w roku 1764



Macewa z 1605 r. na kirkucie w Lesku

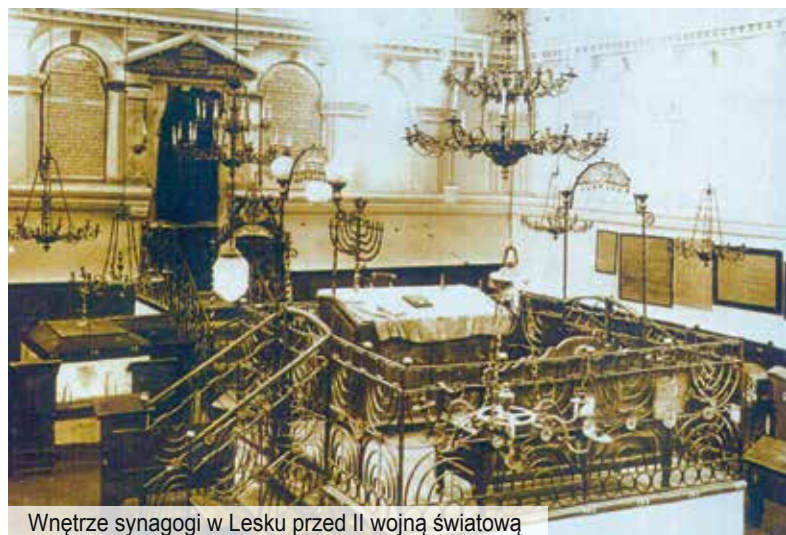


Macewy z XVI i XVII wieku na cmentarzu w Lesku

Andrzej Polocki (15)



Synagoga w Lesku na rycinie Wincentego Kisielińskiego z 1838 r.



Wnętrze synagogi w Lesku przed II wojną światową

został wraz z grupą neofitów, żydowskich przechrztów, uszlachcony. Kwieciński sfinansował dokończenie budowy kościoła oo. Bernardynów w Warszawie.

Wielu świadomie zacierało ślady swojego pochodzenia, a nawet bywało, że (po upadku Rzeczypospolitej) kupowało tytuły szlacheckie. Adam Gubrynowicz, syn Bronisława Gubrynowicza, profesora Uniwersytetu Warszawskiego i Żydówki Lowentoldówny, kupił za 20 tys. dolarów tytuł barona od króla Hiszpanii. Matka nabyła dla niego kilkaset hektarów gruntu w Zagórzcu, gdzie baron w 1928 r. zbudował zamek. Dzieci z małżeństw mieszanych, szlachty z Żydówkami, zachowywały pełnię praw, jaka przysługiwała szlachetnie urodzonym. Leopold Biliński, urodzony z matki Żydówki, pod koniec XIX w. był starostą powiatowym w Turce.

Żydzi bieszczadzcy podejmowali studia na uniwersytetach w Krakowie i Lwowie. W latach autonomii galicyjskiej (1867-1918) w Uniwersytecie Jagiellońskim studiowało 6 osób. Na wydziale lekarskim: Zygmunt Khone z Leska rozpoczął studia w 1866 roku; Aron Rosenberg także z Leska – w 1909 r. i Herman Grübner z Turzańska – w 1913 r. Dwóch studiowało na wydziale prawa: Markus Bonhard z Zagórza rozpoczął studia w 1903 r. i Józef Grossinger z Mchawy immatrykułował

się w 1908 r. Na wydziale filozoficznym studia w 1912 r. rozpoczęła Jadwiga Falterówna z Komańczy.

Pod koniec XIX w. Żydzi chętnie osiedlali się w tych wsiach bieszczadzkich, w których zaczynał rozwijać się przemysł drzewny, powstały przeładunkowe stacje kolejowe lub prowadzono eksploatację ropy naftowej. W szybkim tempie rosła liczba ludności izraelskiej w Krościenku, Dźwiniaczu Górnym i Sokolikach Górskich, gdzie przekroczyła po 200 osób oraz w Stuposianach, Cisnej, Skorodnem, Dydiowej i Siankach – po ponad 100 osób. Jednocześnie w tych miejscowościach powstawały domy modlitwy.

W 1913 r. na 32 przedsiębiorstwa handlowe w Lesku 24 należały do Izraelitów. Do grona najbogatszych należał Mendel Dym handlujący artykułami żelaznymi. Najzamożniejszym był zapewne Luzer Diller – właściciel sali balowej, kasyna oraz wyszynku wódki i piwa. Domy zajezdne nadal prowadzili Sina Günsberg, Leakaner i Leib Rappaport, zaś restauracje Mojżesz Damaszek, Boruch Pflanser. Dawid Gottlieb miał największy w mieście hotel, a Beon Beck fabrykę smarów.

Przed wybuchem I wojny światowej w samym Lesku było 2810 Żydów na ogólną liczbę 4588 mieszkańców. Na zmniejszenie populacji Żydów w Bieszczadach miała także wpływ pierwsza wojna światowa. Do armii austriackiej zmobilizowano także Żydów. Z Leska poszli na wojnę m.in.: Dawid Henig, Naftali Lewita, Hilel Manaster, Abraham Singer i Mendele Willner. We wrześniu 1914 r. na terenach objętych walkami wybuchła epidemia cholery. Tylko w Lesku zmarło na nią około 200 osób, w większości Żydów. Wiosną 1915 r. wycofujące się z Zachodniej Galicji wojska rosyjskie wywoziły bogatych Żydów w głąb Rosji.

Według spisu z 1921 r. w powiecie leskim było 10 294 Izraelitów, z których 5293 podało narodowość polską. Uczynili tak m.in. wszyscy Żydzi w Cisnej. W Lesku na ogólną liczbę 2338 Izraelitów narodowość polską podało 1215. Pozostali przyznawali się do

narodowości żydowskiej i bardzo sporadycznie do ruskiej. W tymże roku tylko w 14 wsiach na 224 miejscowości należących do powiatu leskiego nie było Żydów. W 76 wsiach mieszkało po jednej rodzinie.

W czasach II Rzeczypospolitej

W okresie międzywojennym w Bieszczadach w rękach Żydów był niemal cały handel, znaczna większość zakładów rzemieślniczych i 29 procent folwarków ziemskich. Niewykluczone, iż pierwszym Izraelitą posesjonatem w tym regionie był Hersz Beer Feller z Lutowisk, który w 1865 r. nabył dobra ziemskie w Krywce i folwark Chodak w Skorodnem. W Lutowskach posiadał dwa domy.

Powstawanie fortun żydowskich możemy prześledzić na przykładzie Mendla Randa z Lutowisk. Jego dziadek zajmował się kramarszczyzną, czyli handlem obnośnym, sprzedając w bojkowskich wsiach igły, nici, guziki i wstążki. Ojciec był już arendarzem karczm w Tarnawie Wyżnej i znacznie pomnożył majątek. Mendel Rand, dysponując poważnym kapitałem, wykupywał podupadłe majątki ziemskie i doprowadzał je do rozkwitu. Od Henryka Kieszekowskiego kupił folwark w Tarnawie Wyżnej, od Bronisława hr. Lasockiego folwark w Chmielu, od klasztoru Bazylianów z Dobromila dobra w Żurawinie i wreszcie od Stanisława hr. Konarskiego dobra lutowskie, składające się z trzech folwarków, lasu i dworu. Nabył też kilka okazałych domów w Lutowskach. Ograniczył służbę dworską i sam doglądał gospodarstw. Zlikwidował parki przydworskie, ogrody i sadzawki. Wkrótce jego gospodarstwa stały się dochodowe. Pod koniec życia zgromadzony olbrzymi, jak na warunki bieszczadzkie, majątek podzielił pomiędzy swoje dzieci: Leiba, Jakuba, Arona i Mojżesza.

W latach 1903-1910 cztery majątki ziemskie: Dydiową, Krywkę, Skorodne i Smolnik, nabyli Gerson, Mechel i Samuel Höenigowie z Ustrzyk Dolnych. Gerson



Niezachowany budynek dawnej mykwy w Lesku, w którym dokonywano rytualnej kąpieli

arch. Andrzej Polocki (6)



Stan zachowania synagogi w Lesku w latach 50. XX wieku



Synagoga w Lesku po pracach rekonstrukcyjnych z lat 60. XX wieku

i Mechel dorobili się sporego majątku, zaczynając gromadzenie swojej fortuny od skupu jaj, by ostatecznie wykupić tartak i spore połacie lasów w Smolniku oraz folwark Jałowe. Największym posiadaczem ziemskim był jednak Hersz Grossinger z Baligrodu, właściciel dóbr baligrodzkich oraz folwarków w Bystrem, Cisnej, Huczvicach, Mchawie, Rabem i Stężnicy. Po jego śmierci majątek odziedziczyli synowie Lazar i Chaim. Posesjonatami zostali także Segalowie z Lutowisk: Eising, Samuel i Wolf, nabywając część folwarków w Skorodnem i Żurawinie.

Żydzi posiadaczami ziemskimi

Przed II wojną światową prawie co trzeci majątek ziemski w Bieszczadach należał do Żydów. Największym posiadaczem ziemskim w województwie lwowskim był Herman baron Groede, właściciel dóbr Wetlina i Skole (łącznie 44 810 ha). Jednakże najbogatszym Żydem bieszczadzkim na przełomie XIX i XX stulecia był Markus Fischer, pochodzący z Rumunii, właściciel 4178 hektarów lasu w okolicach Hulskiego i Zatwarnicy. Znaczne dobra ziemskie skupił w swoim ręku dr Feiweł Adlersberg, właściciel i współwłaściciel lasów w Dźwiniaczu Górnym, Hulskim, Ustrzykach Górnych, Wołosatem i Zatwarnicy. Równie rozległe

dobra były własnością Baeckenrothów, żydowskiej rodziny z Wiednia, która w latach 1904-1939 posiadała folwarki i lasy w Cisnej, Dołżycy, Habkowcach, Krywem, Lisznej i Przysłupiu. Majątek w Łuhu był w latach 1885-1910 własnością Herscha Pächtera, Herscha Polnana i Mendela Pächtera. Potem rozparcelowano go, a na podworskiej resztówce gospodarzył Żyd Nut. O przedsiębiorczości bieszczadzkich Żydów może świadczyć fakt, iż po przejęciu folwarku w Chmielu, Rea Landau uruchomił tam wytwórnię serów szwajcarskich, zatrudniając przy ich wyrobie 60 osób. W miejscowym tartaku Aron Jarmusz produkował m.in. kolby do karabinów.

Wiele z zakupionych majątków Żydzi rozparcelowali, sprzedając grunty chłopom wzbogaconym na emigracji zarobkowej w Ameryce. Tak było w Dydiowej, Krywce, Ustrzykach Górnych, Wołosatem, Zatwarnicy i Żurawinie. Do wybuchu II wojny światowej w majątkach ziemskich utrzymali się m.in.: Randowie, Juda Pinkas Dienstag, Adlersbergowie, Segalowie, dr Artur Glück, Dawid Foger, Chaim Mandenberg, Ożjasz Lütwak, Aron Jamrusz i Baeckenrothowie.

Żydzi dzierżawili także lasy, folwarki i poloniny. Folwark w Wetlinie miał w arendzie Szymon Feld, w Berehach Górnych Hankuz, w Łopience Lejba Grauber, w Kalnicy Naftali

Hönig, w Smereku – Mosze Dym i Szymon Feld, w Strzebowiskach Hersz Wołowski. Poloninę Wetlińską w części przynależnej Zatwarnicy dzierżawili tutejsi Izraelici: Konheizerowie, Leichowie i Erlichowie.

Przed wybuchem I wojny światowej liczebność ludności żydowskiej w Lesku osiągnęła 2600 osób. W czasie wojny nastąpił znaczny spadek liczebności ich populacji, bowiem w 1921 r. w samych Ustrzykach Dolnych mieszkało już tylko 1768 Żydów. W latach światowego kryzysu gospodarczego, w dwudziestoleciu międzywojennym, nastąpiło ponowne nasilenie emigracji Żydów bieszczadzkich do Stanów Zjednoczonych. Spadek liczby ludności izraelskiej spowodowany emigracją zanotowano przede wszystkim w Lesku, Lutowiskach, Stuposianach, Woli Michowej i Łobozewie.

Pod koniec września 1939 r. Lesko i pozostałe miejscowości bieszczadzkie położone na prawym brzegu Sanu zostały zajęte przez Rosję Sowiecką. Znaleźli się tu także Żydzi z innych miast Podkarpacia, którym Niemcy polecieli przenieść się do sowieckiej strefy okupacyjnej. Część Żydów deportowano w głąb Rosji. Niemcy ponownie zajęli te tereny 24 czerwca 1941 r. i pozostawiali tu do września 1944 r., dokonując w tym czasie zbrodnicego unicestwienia lokalnych społeczności żydowskich. ■



Targowica na Rynku w Lutowiskach w 1934 r.



Ruiny synagogi w Lutowiskach zniszczonej przez Niemców.



Jedna z zachowanych macew na kirkucie w Lutowiskach

Zbójnicki atrybut – obuch

Hetman zbójnicki to prawdziwy junak wśród góralskiej braci. Pomagający biednym, czyniący dziejową sprawiedliwość utożsamiany był z niedoścignionym ideałem prawości i szlachetności. Paradnie ubrany, sypiący dukatem często posługiwał się bogato zdobioną bronią. Obuch czy ciupaga były nieodzownym elementem wyposażenia niemal każdego zbójnika. Jednak w rękach dowódcy watahy, ten kawałek drzewca ze stalową głownią, stawał się atrybutem godnym sprawowanej władzy, symbolem godności oraz honoru. Szczególnie obuch był dla przywódcy zbójnickiego tym, czym dla hetmana w XVI-XVIII wieku, buława. a później dla marszałka w XX wieku, buława.

Obuch, obuszek lub obuszysko to rodzaj broni białej bardzo popularny wśród polskiej szlachty, stosowany od XVI do XVIII wieku. Głowica obuchu, przeważnie wykonana z kutej stali, z jednej strony posiadała zawinięty w dół dziób, zaś z drugiej młotek. Osadzona była na bukowym lub jałowcowym drzewcu o długości 80-100 cm. Śmiercionośna broń była często zdobiona, szczególnie przez zbójników, którzy drzewce wykładali drogocennymi kamieniami. (...) *Stał dumnie, z podniesionym czołem, bystrym okiem wypatrywał przybyszy. Wspierał się o obuch bogato zdobiony, u nasady wyłożony kolorowymi kamieniami i zwieńczony mosiężną głowicą z młotkiem, a po przeciwległej stronie z orlim dziobem zwiniętym w dół.* To poetycki opis obuszka Mateusza Klimczoka, zbójnika działającego pod koniec XVII wieku, na terenach dzisiejszej Żywiecczyny i Beskidu Śląskiego.

Bogate motywy zdobnicze możemy podziwiać również na huculskich obuszkach, które były w posiadaniu wschodniokarpaccich opryszków. Była to broń często wykorzystywana w pojedynkach i w różnego rodzaju burdach. Z czasem stała się tak popularna, że w dawnej Polsce powstało nawet powiedzenie: *Bez karabeli ani z pościeli, bez obuszka od łóżka.* Noszona w formie laski szybko zyskała miano niebezpiecznego narzędzia, stąd obowiązywał zakaz wnoszenia jej na sejmiki, a w niektórych województwach do kościołów. W *Encyklopedii Staropolskiej* Zygmunt Gloger tak pisze o obuszkach: *Były czasy w których nikt nie wychodził z domu bez obuszka czyli siekiery, która służyła jednocześnie za łaskę, broń i narzędzie konieczne w drodze do urąbania drewna i różnych potrzeb w podróży. W mogiłach na Rusi Litewskiej pochodzących z pierwszych lat chrześcijaństwa a może z ostatnich lat pogaństwa nie pochowano mężczyzny bez położenia mu do grobu żelaznej siekiery.*

W Polsce ze względu na różne zakończenia tego typu broni, podzielono ją na wspomniany obuch – dziób podwinięty w dół, *nadziak* (z którego powstał obuch) – ostry, prostopadły dziób i *czekan* – ostrze, z młotkiem po przeciwnej



stronie. Zbójnicki czekan osadzony był na długim kiju z rączką. Jedna strona rączki zakończona była siekierą, druga zaś hakiem. Poniżej rączki mieścił się często zamek do strzelby. Lufę do niej stanowił właśnie ów kij. Od topora bojowego czekan różnił się przede wszystkim wąskim żeleźcem, młotkowatym obuchem i dłuższym styliskiem. Był ulubioną bronią koczowniczych jeźdźców Wielkiego Stepu, ale wykorzystywali je również zbójnicy, którzy przejmowali ową broń w różnych potyczkach czy napadach. Oprócz walorów bojowych, obuchy służyły do pokonywania stromych podejść (stąd między innymi wzięły się prawdopodobnie górskie czekany).

Według *Simplicissimusa* każdy zbójnik posiadał czekan i ciupagę: *W przeciagu kwadransu przeszli przez pagórki do ładnego wąwozu, gdzie zastałem razem około 50 takich hultajów, po drodze zaś około 30 na czatach. Wszyscy mieli rusznice, czekany i ciupagi za pasem. Przyprawiono mnie przed harnasiów, których było trzech.* A w innym miejscu znajdzie opis: *Czekanem tym, dawszy z niego naprzód celny strzał do przeciwnika, potrafił górale zręcznie rzucać i rąbać.*

Ciupaga to najbardziej znana zbójnicka broń, do której sami watażkowie przywiązywali niezwykłą wagę. Podobna do czekana, zaliczona została do drzewcowej białej broni obuchowo-siecznej. Przytoczony już wyżej polski etnograf i historyk Zygmunt Gloger wywodził pochodzenie ciupagi od popularnej w średniowieczu siekiery bojowej. Możemy wyróżnić dwa typy ciupag: ciupaga górali podhalańskich, charakteryzująca się żeleźcem silnie zwężonym od strony obsady oraz styliskiem zwężającym się ku dołowi i ciupaga huculska, posiadająca żeleźce krótsze, bardziej zwarte, bez mocnego zwężenia zaś stylisko o jednakowym obwodzie na całej długości. Rękojeść ciupagi wykonywana była najczęściej z jałowca lub buka. Obie ciupagi były często zdobione. Trzonki były okuwane, miało to oprócz walorów estetycznych zastosowanie praktyczne, wzmacniało bowiem wytrzymałość styliska, zaś ostrze kowalskiej roboty było zdobione stemplowaniem lub grawerowaniem. *W rękach nosili zbójnicy żelazne siekiery. Wzdłuż toporzyska*

wisiał nabijane na blaszce mosiężne obrączki. Gdy zbójnik szedł, to mu pięknie zberczały. Oprócz tego ciupaga była rzeźbiona różnymi ozdobami. Ostra siekiera, pistole i noże były dobrą bronią zbójnika. Na niektórych ciupagach widniały nawet napisy ich właścicieli - dotyczyło to przede wszystkim hetmanów zbójnickich.

Zbójnicy dysponowali również potężnymi siekierami zwanymi *rąbanicami* (siekier o szerokim ostrzu i długim stylisku): *Rąbanica jest podstawowym narzędziem zbójników. Jej zręczność w użyciu tej strasznej broni jest zadziwiająca. Na dziesięć do dwunastu kroków odcinają z góry upatrzoną gałąź*. Inne określenie broni siecznej to *wałaszki* w Karpatach Zachodnich i *toporce* w Karpatach Wschodnich: *Za pasem był toporec, nieodstępna broń wszystkich w ogóle Huculów, i dwie pary pistole, w ręku rohatoryna*.

Ciupagę używali wszyscy mieszkańcy Karpat: *Juhasicek jo se z welcońskiego pola, Jesce nigdy nie rombała, ciupazecka moja*. Do dzisiaj stanowi ona element góralskiego stroju, lecz najbardziej wpisała się w losy podhalańskich zbójników – w Tatrach Myśliwca, Matei i Sabaly oraz najsłynniejszego słowackiego zbójnika Janosika. *To moja ciupazecka / Na wysokiej górze / Cała krwim zbrocona / Zacynto w jaworze*. To właśnie na ciupagę hetmana nowo przyjmowani do zbójnickiej kompanii Janosika składali przysięgę wierności i byli poddawani próbom zręcznościowym. *Nej związali zbójnicy Wojtkowi chustą ocy i zanieśli go na kyrkocku do lasu. Tam go puścili i ocy mu ozwiązali. Harnaś i styrech najlepszych zbójników stanowili konwisyjum. Harnaś pado do Wojtka: - Podskoc między dwoma smreckami do góry i jedną ręką odetnij ciupaskom jednemu smreckowi wiersyk, a drugom odstrzel z pistoletu drugiemu wiersyk*. Przysięgę zbójnic-



Ondraszek na rycinie Władysława Skoczylasa

ką składano również na hetmański obuch czy topór. Po takiej inicjacji przeważnie każdy nowo przyjmowany zbójnik otrzymywał na własność obuch lub ciupagę.

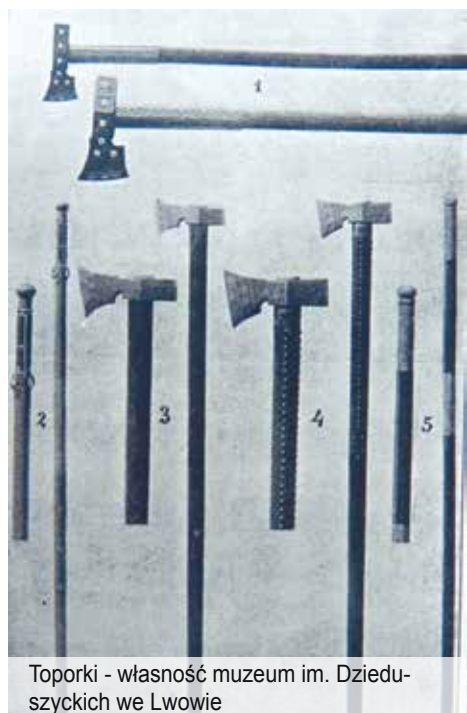
Najsłynniejszy zbójnicki obuszek był w posiadaniu Ondraszka - harnasia pochodzącego z Janowic, koło Frydka (Czechy). W zamian za zaprzędanie diabłu duszy otrzymał zaczarowany obuch. Tylko tym obuszkim można go było zabić i tylko wtedy, gdy oddał go z dobrej woli. Tak też się stało. Na potańcówce w karczmie jeden z druhów, niejaki Juraszek, pożyczył do tańca obuch, a następnie wymierza nim śmiertelny cios. W folklorze ludowym, szczególnie w malowidłach czy rycinach, postać Ondraszka zawsze ukazywana jest z obuchem. Grafika Władysława Skoczylasa pt. *Ondraszek* z 1929 r., to chyba najsłynniejszy obraz legendarnego zbójnika z obu-

chem w dłoni: *Obuszek złoty nieziemskiej roboty / To atrybut zbójnika prawdziwego wojownika / Harnasie za niego pchają się do złego / Duszę diabłu zaprzędają z czarnownicami się kumają / Krwia zbroczony wdowimi łzami oblany / Namaszczony cierpieniem zmarnowanym ludzkim życiem*.

Inny wielki zbójnicki harnaś Janosik z Terchowej od wiedźmy otrzymał ciupagę, która na rozkaz sama miała rąbać. Według legendy zbójnik zginął za sprawą dziewczyny, która żandarmom wyjawiała tajemnicę jego siły i nietykliwości. To ona zamknęła magiczną ciupagę w skrzyni o siedmiu zamkach i gdy wkroczyli oprawcy do izby, Janosik nie miał się czym bronić.

Ostatni z wielkiej trójki Dobosz, watażka Karpat Wschodnich, za swój zbójnicki atrybut obrał topór. To przez topór do końca swoich dni utykał (toporem został ugodzony w nogę przez brata podczas kłótni w karczmie), toporem rozbijał głowy opornym, kruszył mocarne wrota i w końcu na toporach miał być zanieiony w Czarnohory. Doboszowi przypisuje się jeszcze jeden mityczny czyn. To właśnie on miał znaleźć *topór wielitów* lub jak kto woli *miecz wielitów*. Czy był faktycznie w jego posiadaniu i co się później z nim stało, tego nie wiemy. Inne przekazy ludowe świadczą, iż: *Nie znalezienie miecza Wielitów – sprawiło, że została utracona słoboda stara. Zamiast władać, panować nad górami i żyć swoim własnym życiem, Huculi poszli na dno dziejowe. A może - może Dobosz nie dotrzymał warunków? Może jest nadzieja, że ktoś ten miecz odnajdzie... Czy ten wielikański, czy Doboszowy topór, wyciągnie ktoś kiedyś ze skały...*

Watażkowie byli w posiadaniu różnej broni, może i nawet bardziej dystyngowanej, godnej samego szlachcica – mowa tu o szabli czy karabeli, ale i tak umiłowali obuch, jako symbol zbójnickiej swobody. ■



Toporki - własność muzeum im. Dzieduszyckich we Lwowie



Głowica huculskiego obuszka

Bibliografia:

- Z. Gloger, *Encyklopedia Staropolska*, 1990-1903
- B. Szopiński, *Podróż Simplicissimusa węgierskiego do Tatr w XVII wieku*, Pamiętniki Towarzystwa Tatrzańskiego, 1907
- Orny, *Jak harnaś przyjmował na zbójników*, Gazeta Podhalańska, 1937
- Z. Żygulski, *Broń w dawnej Polsce na tle uzbrojenia Europy i Bliskiego Wschodu*, Warszawa 1982
- R. Grosz, *Kroćpokowe poezje*, Koniańców 2017
- J. Dzierżykowski, *Opryszki*, Przyjaciół Domowy, 1861
- S. Vincenz, *Na wysokiej Poloninie*, Warszawa 1980
- J. Fedkowycz, Dobosz, Płaj 2007
- U. Janicka-Krzywda, *Poczet Harnasi Karpackich*, Warszawa-Kraków 1988

Morowy Żyd

Na stoku Mogiły, tej nad Rymanowem Zdrojem, przy lubatowskim gościńcu stała przed trzystu laty karczma, co ją arendował Żyd Aibel. Zajeżdżali do niej podróżni, żeby koniom dać spocząć, samemu przed dalszą drogą nieco się posilić i trochę rozweselić. Okoliczni kmiecie też w niej przesiadywali, najczęściej w niedzielę, chociaż byli i tacy, co dla nich każdy dzień i pora była dobra, jak gorzałka we łbie zaszumiała.

Stało się razu jednego, że któryś z podróżnych, niczego nie świadom, przywłókł ze sobą zza Beskidu morowe powietrze. Przenocował w karczmie i na drugi dzień pojechał dalej. Pierwej nikt się nie zorientował, dopóki nie zaczęły chorować dzieci Aibela. Pięcioro bachorów miał, już podróżnietych i do łżejszej roboty zdatnych. Potem jego baba też zległa w tej chorobie, a na końcu i on zachorował.

Natenczas, tak się złożyło, na karczmę napadli zbóje i razem z łupami wzięli na siebie zarazę, skutkiem czego niedługo potem wszyscy, jak jeden mąż, pomarli. Ale co gorsza, rozwlekli oną zarazę po innych wsiach, bo zbójami, co na Aibela napadli, prawdę powiedziawszy byli kmiecie tutejsi, z naszego Beskidu. Niedługo po napaści Aibel i cała jego rodzina pomarli. Taka to była straszna zaraza.

Po tym zdarzeniu do karczmy przez długie lata nikt ze strachu nie zaglądał. Podróżni pomni, co tu się stało, omijali ją z daleka jak diabła święconą wodę. Razu jednego, po latach, jakiś z obcego kraju jadący człowiek, kiedy

burza z piorunami na gościńcu go zastała, widząc opuszczoną chatę, postanowił w niej przeczekać nawałnicę. Wszedł tam

i natknął się na siedem ludzkich szkieletów, o czym szeroko rozpowiedział. Po jakimś czasie jacyś zapewne dobrzy ludzie z Klimkówki pogrzebali te szkielety tuż obok karczmy, bo to przecież byli Żydzi niewierni i pochówek w chrześcijańskiej poświęconej ziemi im się nie należał.

Z czasem przybladła pamięć o tragedii. Karczmę wziął w pacht inny Żyd i znów zapełniła się gośćmi. Jak za dobrych dawnych czasów odbywały się tu hulanki, pijatyki i bijatyki, aż któregoś dnia karczma spłonęła. Piorun w nią strzelił, żeby więcej w tym miejscu nie dochodziło do obrazy Boskiej.

W czasie ostatniej wojny światowej, kiedy poszerzano nieopodal karczmiska lubatowską drogę, natrafiono w ziemi na ludzkie szkielety. Znak to, że w każdej legendzie bodaj kosteczkę prawdy można znaleźć. ■



Wybrane legendy pochodzą z książki Andrzeja Potockiego „Księga legend i opowieści bieszczadzkich”. Autor zebrał w niej 179 legend karpaccich wydobytych z zakamarków ludzkiej pamięci, wyblakłych ze starości, wydawałoby się nikomu już niepotrzebnych.

Karczma Żebrak

Jest w paśmie Wielkiego Działu przełęcz, przez którą od niepamiętnych czasów wiódł trakt kupiecki z Baligrodu do Woli Michowej i dalej na węgierską stronę Bieszczadu. Na tejże przełęczy stała kiedyś karczma, którą zwano Żebrakiem. Od nazwy karczmy także i przełęcz poczęto nazywać Żebrakiem. Zapytacie, skąd taka nazwa, która zamiast przyciągać podróżnych do karczmy, raczej ich była odstraszała?

Otóż było to tak. Jakies dwieście lat temu arendarzem karczmy był Żyd Josek. Miał on córkę jedynaczkę, Ryfkę, dziewczynę tak piękną, że i ładniejszych pośród stanu szlacheckiego by nie znalazł. Kiedy Ryfka dorosła do zamążpójścia, to znaczy skończyła 12 lat - bo trzeba wam wiedzieć, że w dawnych czasach w takim już wieku dziewczęta wydawano za mąż - wielu stanęło w konkury do jej ręki. Cóż, kiedy Josek, świadom urody swojej córki, postanowił zrobić na niej dobry interes i bogato ją wydać za mąż.

Konkurenci przesiadywali całymi tygodniami w karczmie, żeby choć tylko na Ryfkę popatrzeć. Grosza przy tym sporo

wydawali, żeby Josek mógł się przekonać, że są bogaci, a nie jakieś tam przybłędy łapserdaki. Co raz któryś do cna się splukał i odjeżdżał w siną dal, nic nie wskórawszy. Kilku wręcz cały majątek w karczmie przepuściło. Josek kontent był z takiego obrotu sprawy, bo trzosa mu pęczniał. Jeden z konkurentów, kiedy cały majątek postradał i nie miał już dokąd pójść, został na przełęczy i od przyjezdnych wypraszał jałmużnę, czyli żebrał. Ale nie tylko jego zbyt częste odwiedziny w tej karczmie uczyniły żebrakiem. Stąd właśnie nazwa tej karczmy.

Zapytacie, co stało się z pazernym Joskiem i piękną Ryfką. Josek, kiedy stał się już bogatym, kupił sobie wieś w Bieszczadach, a córkę wydał za bogatego szlachcica, no może niezupełnie prawdziwego, bo jemu też kupił tytuł szlachecki.

Karczma przetrwała do pierwszej wojny światowej i pomimo nazwy Żebrak, która do niej na stałe przyłgnęła, całkiem nieźle prosperowała. Gdy wiosną 1915 roku toczyły się tam zacięte boje, trafiała poci-

skiem zapalającym splonęła. Kiedy będziecie przemierzać bieszczadzki czerwony szlak i znajdziecie się na przełęczy Żebrak, zatrzymajcie się na chwilę przy źródelku. Kiedyś przeglądała się w nim piękna Żydóweczka Ryfka. Może uda się wam dojrzeć w jego zwierciadle jej odbicie. ■



Agnieszka Dziama

O karczmie, co się zapadła

Przy starodawnym gościńcu z Rymanowa do Sieniawy, nieopodal miejsca, gdzie odchodzi od niej odgałęzienie do Głębokiego i dalej ku Fuławom i Surowicy, stała karczma. Za szynkwasem uwijał się jak w ukropie Żyd Jojne Barth, którego okoliczni chłopci trochę dla przekory nazywali kiedyś z polską Bartoszem i tak już zostało. Mówiono przeto: „w karczmie u Bartosza”. Nieopodal była cegielnia dworska i też mówiono o niej: „cegielnia koło karczmy Bartosza”.

Potem, kiedy w dolinie potoku zbudowano kilka domów, też nazywano to miejsce koło Bartosza. On sam nie obrażał się na to spolszczenie jego nazwiska, bo najważniejszy był interes, a ten dobrze się kręcił. Chłopi, jak popili, dworowali sobie z każde-

go Żyda, bo to mawiali - wiadomo sobacze nasienie, co się Chrystusa wyrzekło. Ale bez Żyda jak bez ręki. Ani gdzie siwuchy kupić, ani bakanu (drobno krajany tytoń do fajki), ani od kogo parę krajcarów pożyczyć czy na borg (kredyt) wziąć poleć słoniny albo kwartę kamfyny (nafta do lamp), miarkę zboża czy cetnar kartofli.

Jojne Barth pilnował interesu jak oka w głowie, arendę płacił pani hrabinie Potockiej na czas i co do grosza. Bo po prawdzie karczma usytuowana była w znakomitym miejscu i dochód pewny przynosiła. Wszyscy Rusini z gór, od Polan Surowicznych począwszy aż po Odrzechową, musieli koło niej przyjeżdżać. Kiedy na targu czy też jarmarku w Rymanowie zrobili jakiś dobry czy nawet zły interes, ta karczma była pierwszą na drodze ich powrotu do domu. Tu z groszem nie liczyli się jeszcze za bardzo, przeto obrót był spory. A jak jest obrót, jest i zysk.

Barth nawet lubił tych Rusinów, zwanych przez Polaków Górniakami. Jak nie miał ich lubić, jak z nich żył. Kiedy zjeżdżali co poniedziałek z rymanowskiego targu, było ich tak pełno, że miejsca w izbie karczemnej czasami brakowało. Ścisk był w ony czas przy szynkwasie, jak nie przymierzając przy balaskach w kościele przy komunii wielkanocnej. A rejwach jaki był? Że i Żydzi w Jom Kippur w rymanowskiej bóżnicy by się go nie po-

wstydzili. Jednym słowem była to karczma nad karczmami.

Nastąpiła pierwsza wojna światowa. Szli gościńcem żołnierze raz jednej, raz drugiej armii. I jedni, i drudzy byli jak spragnione bydło, które po wielu kilometrach marszu dopada na drodze kałuży i pije bez opamiętania. Jojne parę beczek gorzałki zakopał na lepsze czasy. Ale ruskie kacapy, jak nazywano skośnookich żołdatów - że też ta święta ziemia nosi taką swołocz - i to znaleźli. Pozakładali wokół karczmy miny własnej roboty i detonowali je. Tak trafili na beczki. Kolejni też nie wierzyli Jojne, że już nic nie zostało z dawnych zapasów.

- Zakopałeś, Żydzie, pod podłogą!

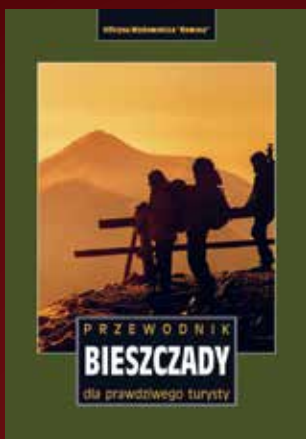
I żeby się upewnić, wysadzili karczmę w powietrze. W jej miejscu taka dziura w ziemi się zrobiła, że jak opadł kurz, okazało się, iż cała karczma, a raczej to co z niej zostało, w dziurze się zmieściło. Śluszenie zatem ludzie powiadali, że karczma Bartosza się zapadła. Zapomnieli jednak dodać, że wpięć uniosła się w powietrze niby aeroplan, a dopiero potem zmieniła się w łódź podwodną. I tak ten dobrze prosperujący interes szlag trafił. Hrabia karczmy już nie kazał odbudować, bo grunt, na którym stała, sprzedał chłopom.

Jojne Barth wziął inną karczmę w arendę. Tu została po nim jednak nazwa miejsca po karczmie - Bartoszków, z czasem przeniesiona na powstającą osadę, chociaż ci z Posady Górnej jeszcze długo określali ją mianem Granice. ■

Andrzej Potocki – pisarz, dziennikarz, autor reportaży telewizyjnych. Z wykształcenia historyk i animator kultury. Od roku 1989 uprawia zawód dziennikarza reportażysty. Publikuje w prasie regionalnej i ogólnopolskiej oraz realizuje materiały filmowe dla telewizji publicznej. W TVP ukazało się ponad czterysta jego filmów i reportaży. Autor ponad dwudziestu książek o tematyce regionalnej, prezentującej m.in. dorobek kulturowy i historyczny polskich Bieszczadów oraz obszaru pogranicza.

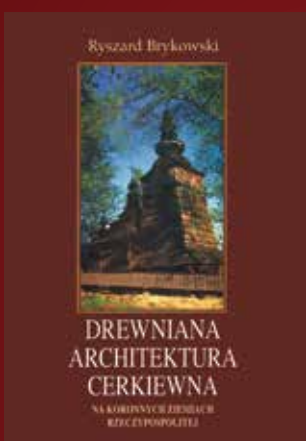
Polecane lektury

Przewodnik stanowi szczegółowe kompendium wiedzy o Bieszczadach podane w przystępnej formie. Głębszą wiedzę o regionie przygotowano w krótkich artykułach omawiających najciekawsze zagadnienia historii, geografii, przyrody, etnografii i socjologii Bieszczadów. Część szczegółowa przewodnika opisuje poszczególne pasma górskie. Są nimi: pasmo Chryszczatej i Wołosania, pasmo graniczne od Łupkowa do Roztok Górnych, masyw Łopiennika i Falowej, pasmo graniczne od Roztok do Ustrzyk Górnych z Jasłem, Rabią Skalą i Wielką Rawką, Polonina Wętleńska, Polonina Caryńska, masyw Tarnicy i Halicza z pasmem granicznym aż po przełęcz Użocką, Przedgórze Bieszczadzkie (Otryt i Żuków) oraz okolice bieszczadzskich zalewów.



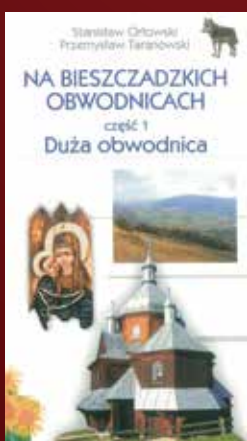
Paweł Luboński (red.), Bieszczady. Przewodnik dla prawdziwego turysty, Oficyna Wydawnicza REWASZ, Proszków 2019

Publikacja prezentuje drewnianą architekturę cerkiewną na terenach dawnych Koronnych Ziem Rzeczypospolitej w aspekcie historycznym; omawia jej genezę, style architektoniczne oraz sposób budowania i wystrój wnętrz w poszczególnych regionach. Przedstawione dzieje drewnianej świątyni rusko-ukraińskiej, prawosławnej i katolickiej, są własnym i indywidualnym spojrzeniem autora. Poglądem, jaki kształtował się w ciągu długich lat bezpośredniego obcowania z zabytkami cerkiewnymi w Polsce, na Słowacji, w Rumunii, na Białorusi i w Czechach oraz licznymi dokumentami ikonograficznymi dawnej, wspaniałej, a na zawsze utraconej przeszłości w drewniany budulec obleczonej.



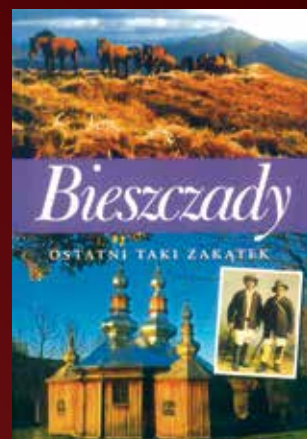
Ryszard Brykowski, Drewniana architektura cerkiewna na koronnych ziemiach Rzeczypospolitej, Towarzystwo Opieki nad Zabytkami, 1995

Pierwsza publikacja z dużego cyklu sygnowana nazwiskiem znanego przewodnika górskiego. Ta część jest przewodnikiem opisującym Bieszczady, a także powiaty bieszczadzki, leski i sarnocki. Wielka Pętla, jak czasem nazywana jest ta trasa, biegnie z Leska przez Uherce Mineralne, Olszanice i Ustrzyki Dolne do Czarnej, Lutowsk, Ustrzyk Górnych, a następnie z Ustrzyk Górnych do Cisnej skąd przez Baligród wraca do Leska. Łączna długość tej trasy wynosi ok. 147 km. Przewodnik zawiera przygotowaną ofertę turystyczną w formie propozycji wycieczek trasami komunikacyjnymi, a także wszelkie informacje niezbędne dla osób przybywających w tym rejonie. Całość uzupełniają kolorowe zdjęcia przedstawiające ważne miejsca, obiekty oraz zabytki w poszczególnych miejscowościach.



Stanisław Orłowski, Przemysław Taranowski, Na bieszczadzskich obwodnicach. Część 1 Duża obwodnica, Podkarpacki Instytut Książki i Marketingu, Rzeszów 2008

Nie jest to typowy przewodnik turystyczno-krajoznawczy, lecz raczej opowieść o tej krainie, o tym jaka była dawniej, i jaka jest obecnie. Autor z pasją opisuje nie tylko piękno górskiego krajobrazu i dzikość przyrody, ale także skomplikowaną i tragiczną historię regionu, z którą spłotyły się losy niektórych miasteczek i wsi, w większości już nieistniejących. Podejmuje też temat pogranicza zarówno w zakresie kultury duchowej, jak i materialnej, snując opowieść o dawnych mieszkańcach gór (Łemkach i Bojkach), o zamkach, leśnych kolejkach, cennych kościołach, urokliwych cerkiewkach, nieistniejących synagogach, cudownych źródłach i kapliczkach czy w końcu bieszczadzskich nekropoliach.



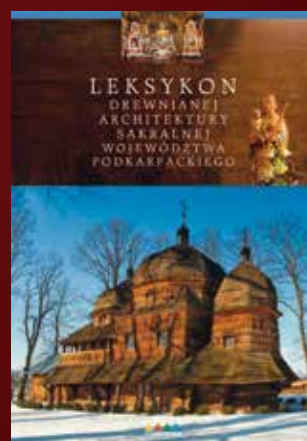
Stanisław Kłos, Bieszczady. Ostatni taki zakątek, Sport i Turystyka MUZA SA, Warszawa 2012

Album to zbiór ponad 200 unikatowych zdjęć wykonanych przed II wojną światową przez znakomitego etnografa i znawcę sztuki ludowej – Romana Reinfussa. Zafascynowany kulturą Bojkowszczyzny i Łemkowszczyzny etnograf przez wiele lat dokumentował bogate tradycje kulturowe tych terenów. Podróżując z aparatem fotograficznym po ówczesnych polskich Karpatach, badał życie codzienne, obyczaje i kulturę ich mieszkańców. Reinfuss szczególną uwagę poświęcał tym, którzy pozostawali wierni tradycji, dokumentując nie tylko obyczaje ludności, ale także i zastanę architekturę budownictwa ludowego - wiecześnie chaty, kościoły, kapliczki, cmentarze, młyny itp. Książka jest wspaniałym świadectwem pracy badacza, któremu udało się poznać kulturę miejscowych górali.



Roman Reinfuss (fotografie), Zbigniew Libera (tekst), Hubert Ossadnik (tekst), Karpaci świat Bojków i Łemków. Roman Reinfuss. Fotografie, Wydawnictwo Bosz, 2015

Publikacja zawiera opis 256 zespołów i pojedynczych obiektów zabudowy sakralnej, zachowanych na terenie Podkarpackiego. To 149 dawnych i obecnych cerkwi, 96 kościołów i kaplic, 57 wolno stojących dzwonnicy oraz jeden dawny zbór protestancki. Ich opisy zilustrowano w sumie 1200 aktualnych, ale i archiwalnych, zdjęć. Każdy opis posiada streszczenie w języku angielskim oraz ukraińskim. Udało się także zebrać informacje o 467 miejscowościach z regionu, w których istniały drewniane cerkwie, kościoły, zbory, synagogi i dzwonnice, a które uległy zniszczeniu od połowy XIX wieku do 2007 r. Odnaleziono i pozyskano 535 archiwalnych zdjęć, które pokazują ich bryłę, a czasami i wnętrza wraz z wyposażeniem.



Krzysztof Zieliński (red.), Leksykon drewnianej architektury sakralnej województwa podkarpackiego, Stowarzyszenie „Pro Carpathia”, 2015